



***Sue MacKay***



***Miłość nad laguną***

*Tytuł oryginału : Every Boy's Dream Dad*

# ROZDZIAŁ PIERWSZY

Puk, puk. Bum, bum.

Łomotanie do drzwi narastało, wobec czego Rachel skrzywiła się z niechęcią. Tylko nie to. Dość odwiedzin na dziś. Od świtu – a ten na Wyspach Cooka wstaje wyjątkowo wcześnie – zdążyła przewinać się przez jej dom procesja życzliwych sąsiadów.

Buch, buch.

Westchnęła ciężko. Stojący za drzwiami najwyraźniej nie odebrał jej telepatycznego komunikatu. Musi mu powiedzieć wprost, by poszedł w diabły.

Otworzyła drzwi, nie siląc się na uśmiech.

– Słucham?

Zmrużyła oczy, ale nie mogła winić słońca za to, że coś uwięzło jej w gardle, a wilgotna z powodu upału skóra nagle wyschła na wiór.

Na progu domu stał olbrzym. Była przyzwyczajona do widoku wysokich mężczyzn, nigdy nie budzili jej obaw. Skąd więc teraz ten nagły skurcz? Dlaczego krew szybciej krąży w żyłach? Przecież żaden mężczyzna nie ma prawa wydawać się jej atrakcyjny. Nie teraz i nie w najbliższej przyszłości. Zaczyna nowe życie i na razie nie szuka drugiej połówki. Ani nawet przyjaciela czy kolegi. Najpierw musi znaleźć spokój i zapomnienie. Wydobyć się z rozpacz, w której tkwiła prawie dwa lata.

Ależ ten facet ma ciało! Normalnie kobieta dostaje na taki widok oczopląsu. Nie zmieści się w drzwiach, chyba że bokiem. Na razie nikt go nie zachęca do wejścia, ale...

– Skaleczyła się – zadudnił olbrzym. – I ma podbite oko.

– Słucham? – Nareszcie zauważyła, że kolos trzyma na rękach drobną tubylczą kobietkę. Z rany na jej udzie kapłała krew.

– Pani jest doktor Simmonds, prawda? – huknął gość.

Nie, teraz jest śmiertelnie zmęczoną matką skołowanego małego chłopca, którego ledwie udało się jej ułożyć do snu. Lekarką będzie od jutra. Dla każdego potrzebującego.

– Powinien pan zawieźć ją do szpitala.

– Ale pani jest bliżej.

Skąd on wie? Na Rarotongę przybyła zaledwie dwa dni temu. No tak, lokalna poczta pantoflowa. Ci wszyscy sąsiedzi, którzy przez cały dzień przychodzili z wyrazami radości i szacunku. Mózg Rachel powoli odzyskiwał sprawność. Pracował lepiej niż o ósmej rano, w porze pierwszych odwiedzin, a ten długi dzień zaczął się jeszcze wcześniej. O czwartej nad ranem najbliższe otoczenie domu rozbrzmiewało już pianiem kogutów.

Gość ciągle stał w progu, wzrokiem domagając się uwagi dla rannej kobiety. Niesamowite oczy, czarne, głębokie. Nie przeoczą niczego. Także tego, że ona chce się pozbyć intruzów.

Z powodu braku oznak, że gość jest gotów się wycofać, Rachel szerzej otworzyła drzwi. Jako lekarz musi służyć pomocą. Nigdy nikomu jej nie odmówiła, a więc pora zacząć grać swą rolę w nowej społeczności.

– Proszę ją wnieść do holu.

– Tak jest, doktorko.

Mężczyzna z chwytającą za serce delikatnością położył milczącą kobietę na kanapie. Potrzebne było prześcieradło. Rachel włączyła lampę i pokiwała głową. Szkoda, że nie kupiła dziś rano w supermarkecie trochę mocniejszych żarówek. Cóż, nie przewidywała spędzania tu wieczorów, więc te słabe wydawały się wystarczające. Aż do teraz.

Przyklękła koło kanapy.

– Jestem Rachel Simmonds, nowa lekarka – odezwała się do pacjentki łagodnym tonem.

Kobieta otworzyła jedno oko – drugie było zapuchnięte – i przez chwilę przyglądała się Rachel. Lekarka widziała, że tamta bardzo cierpi. Policzek miała podrapany do krwi.

– Co się stało? – zapytała Rachel mężczyznę.

– Niewykluczone, że na chwilę straciła przytomność.

Mówił z akcentem, podobnie jak ludzie, których zdążyła poznać przez ostatnie dni, ale nie wyglądał na wyspiarza. Był opalony, nie miał jednak naturalnie ciemnej skóry. Smukły, doskonale umięśniony.

– Skąd pan jest? – zapytała.

– Mieszkam obok – odrzekł lakonicznie, wzdychając.

Nie było to zbyt serdeczne, ale cóż. Ona sama też nie jest ostatnio przyjaźnie nastawiona do świata. A więc to sąsiad. Koniec, kropka. Pewnie musieli się wcześniej widzieć. A może on ją obserwował? Rachel, nie podniecaj się, bądź realistką. Dlaczego ten facet miałby się tobą interesować? Ma swoje życie, pewnie także żonę i dzieci. Z tym, że na tych wyspach nie istnieje ponoć nic takiego jak obcość czy dystans. Tu każdy każdego pozdrawia zza płotu. To nie Londyn, gdzie zostawiła dotychczasowe życie.

Ponownie przyjrzała się kobiecie. Chyba wystarczy szybko założyć opatrunek i tę dwójkę będzie miała z głowy. Ale najpierw trzeba zdobyć pewne informacje.

– Jak pan myśli, skąd ta rana? Widział pan, jak to się stało?

– Wróciłem do domu i znalazłem ją na podłodze w kuchni. Pewnie się pośliznęła, sprzątała podłogę mopem.

Ho, ho, ho. Nareszcie dłuższą wypowiedź. Zasługuje na reakcję.

– A więc to nie jest pana partnerka? – zapytała Rachel, prostując się i patrząc rozmówcy w oczy.

– Moja gosposia.

Czyli nie żona. Jest nadzieja, że to singiel. Ślepa uliczka, nie należy o tym myśleć.

– Muszę iść po apteczkę.

Odwracając się, kątem oka dostrzegła na rękawie jego niebieskiej koszuli odznakę policyjną. Jak mogła ją przeoczyć? Chyba nie jest wystarczająco przytomna, by kompetentnie zająć się pacjentką.

– Pan jest policjantem.

Mężczyzna uniósł brew, jakby chciał powiedzieć: „Sporo czasu ci zajęło, żeby do tego dojść”, ale się nie odezwał.

– Tata?

Rachel odwróciła się ku drzwiom. Nadzieja w głosie synka ścisnęła za serce.

– Riley, kochanie.

Za każdym razem, gdy Riley mylił się w ten sposób, musiała mu sprawiać ból, wyprowadzając z błędu. Czy to się kiedyś skończy? Kiedy mały zrozumie, że już nigdy nie zobaczy ojca? Bezustannie czeka na tatę. Przewędrowali pół świata, by łatwiej mu było pożegnać się z myślą o powrocie ojca.

– Riley, powinieneś być w łóżku. Idź spać.

– Tata.

Chłopiec stał w drzwiach. Niepewnie kiwał głową, z nadzieją przyglądając się mężczyźnie. Biorąc pod uwagę kiepskie oświetlenie, można było mu wybaczyć, że przybysza pomylił z ojcem. Obaj byli wysocy i postawni, obaj mieli krótkie, proste ciemne włosy. Obaj nosili policyjne

bluzy.

– Nie, kochanie, to nie tata. – Wzięła Rileyę na rękę. Nadzieja i tęsknota w jego oczach przyprawiały ją o ból serca. Miała o to żal do nieżyjącego męża.

Riley przytulił się do niej, obejmując za szyję.

– Mamo, jestem zmęczony.

– Chodź, położę cię do łóżka.

Trzeba będzie powtórzyć cały rytuał. Przeczytać fragment ulubionej książki. Bez tego w nowym domu, nowym kraju, z dala od wszystkiego, co bliskie i znajome, mały na pewno nie będzie mógł zasnąć.

Ranna wciąż czekała na pomoc. Oczy miała zamknięte, krew powoli krzepła. Niby nic pilnego, ale ta biedaczka potrzebuje zrozumienia i troski.

Rachel mocniej wtuliła głowę Rileyę w pierś. Chciała mu oszczędzić widoku, który do tej pory umknął jego uwadze. Dzieciak jest i tak w stresie, nie musi oglądać zakrwawionej kobiety w podartym ubraniu leżącej na kanapie. Ruszyła w stronę wyjścia.

– Ja go położę – usłyszała głęboki głos.

– On nie pójdzie z nieznajomym.

Przynajmniej od czasu, gdy zginął jego ojciec. Koledzy Jamiego bardzo się starali. Chcieli być mili dla syna bohatera, mieli jak najlepsze intencje. Ale chłopcu każdy przyjaźnie nastawiony nieznajomy kojarzył się ze zniknięciem taty.

– Riley. – Tubalny głos złagodniał. – Chcesz, żebym ci poczytał?

Chłopiec oderwał twarz od piersi mamy i skinął głową. Oszołomiona Rachel przeniosła wzrok z syna na mężczyznę, któremu bez wysiłku udało się uzyskać taki odzew.

– Kim pan jest? – wyszeptała.

– Ben Armstrong. Starszy posterunkowy, Wydział Policji na Wyspach Cooka.

Teraz rozpoznała jego akcent. Kiwi, rodowity Nowozelandczyk. Tak jak Lissie, przyjaciółka, która załatwiła jej stanowisko szefa ginekologii w tutejszym szpitalu. Lissie wynajęła też ten dom, mając nadzieję, że tu Rachel i Riley, z dala od wielkiego pustego londyńskiego mieszkania, będą mogli zacząć nowe życie.

Ben Armstrong wyciągnął ręce do chłopca. Zdumiona Rachel oddała nieznanemu syna, który nie wyglądał na zaniepokojonego.

– Drugi pokój na prawo – szepnęła przez ściśniętą krtani.

Z zazdrością patrzyła, jak duże ręce Bena lekko unoszą dziecko. Sama chętnie by się przytuliła do szerokiej męskiej piersi, jej wyposzczone ciało bardzo tego pragnęło.

– Gdzie jest książka?

– Na stoliku nocnym.

Cud, że przy takim szumie w uszach dosłyszała i zrozumiała pytanie.

Opuszczając pomieszczenie, Riley ani pisnął. Pewnie dopiero za chwilę zorientuje się w sytuacji i ją zawoła. Tym bardziej należy się pośpieszyć. Złapała stojącą w kącie torbę z przyborami lekarskimi i podeszła do pacjentki.

Gorąco, gorąco. Ben z trudem powstrzymywał chęć rozpięcia kolejnego guzika koszuli. Doktor Rachel Simmonds doprawdy warta jest uwagi. Czy raczej byłaby, gdyby był zainteresowany bliższym poznaniem jakiejś kobiety. A przecież nie jest. Zmienił się w górę lodu. Nie stopnieje nawet w słońcu. Jego hormony śpią.

Ona jest wysoka i szczupła, ma bladą cerę i głębokie cienie pod oczami. Delikatna, ale tylko dopóki nie otworzy ust. Wtedy staje się rezolutna i wygadana. Intrygująca, ekscytująca. Odkąd to jego umysł zajmuje się takimi

rzeczami? Ano od chwili, gdy zobaczył te oczy podobne do niebieskich dzwoneczków, które wiosną zakwitały na łąkach rodzinnej farmy. Ich spojrzenie przeszywa, pali jak rozgrzane żelazo.

Taaa... niezła laska. Regularne rysy, wielkie smutne oczy, burza loków, ani blond, ani ciemnych, wymykających się spod złotej przepaski. Całkiem atrakcyjny zestaw. Do tego angielski akcent, który zawsze na niego działał. Taka kobieta przyciąga wszystkie spojrzenia, gdziekolwiek się pojawi. Co do tego nie ma wątpliwości.

Ale jego nie ekscytuje nowa lekarka. Potrafiłby oprzeć się jej urokowi, bo... Poczul ukłucie w sercu. Ta przeklęta noc, która zniszczyła mu życie... Cierpienie ma swoją dobrą stronę. Stawia do pionu, umacnia w postanowieniach, nie pozwala się poddać. A już na pewno nie można zmienić zdania pod wpływem kilku minut spędzonych w towarzystwie skądinąd pięknej kobiety. Takiej, która przyjechała tu pewnie najwyżej na rok.

– Poczytasz mi książkę? – Dzieciak się wiercił.

Ben potrząsnął głową, jakby chcąc uwolnić się od myśli o matce chłopca.

– Jasne. Którą chcesz?

– Tę. – Riley wskazał tom na górze stosu nieźle za – czytanych książek.

– To o niegrzecznej kozie, która zjada ubrania suszące się na sznurze.

Chłopiec wygodnie ułożył się w łóżku.

Ben omiótł wzrokiem obrazki na ścianach, piłkę futbolową w kącie, pluszaki na komodzie. Gdyby los dał jemu i Catrinie więcej czasu, też mógłby mieć takiego syna. Gdyby ona wtedy nie siedziała za kierownicą. Gdyby jemu udało się ją uratować.

Nie myśleć o tym. Zacisnął powieki, by pozbyć się wspomnień ostatniego oddechu Catriny, widoku jej ukochanej twarzy naznaczonej



bólem, migającej na niebiesko i czerwono w świetle nadjeżdżającej karetki. Musi odegnąć strach i bezradność, które opanowały go wówczas i powracały, ilekroć o niej myślał.

Policzył do dziesięciu. W końcu potrafił się ponownie skupić na tym, co tu i teraz. Nieswoim głosem zapytał:

– Ile masz lat?

– Prawie pięć. – Dzieciak w skupieniu przewracał stronicę książki. – Niedługo pójdę do szkoły razem z moim przyjacielem Harrym. Jego brat Jason już tam chodzi.

– To dobrze, że w nowym miejscu masz kolegów.

– Ich mamą jest Lissie, przyjaciółka mojej mamy.

– Słyszałem.

Lissie to nowa chirurg. Pochodzi z Auckland. Na Rarotongę przyleciała z Londynu z mężem Pitą, tubylcem z Wysp Cooka, i z dwoma synami. Lokalna społeczność bardzo się z tego cieszyła. Mąż objął rodzinną firmę transportową, gdyż jego ojciec doznał wylewu.

Lissie skutecznie zadbała, by w miejscowym szpitalu ktoś zajął się zdrowiem kobiet. Jej szwagierka zmarła na raka szyjki macicy, bo krepowała się iść do ginekologa mężczyzny przy pierwszych objawach. A potem było za późno. Nowa ginekolog – położnik, mama chłopca, będzie kierować oddziałem kobiecym przez roczny okres próbny.

– Już nie chcesz mi czytać? – Malec dzielnie walczył ze łzami.

Ben przysiadł na brzegu łóżka i wziął od chłopca książkę.

– Przepraszam cię, koleś. Jasne, że chcę.

Chłopcu najwyraźniej brakowało ojca. Kim był jego stary? Czy doktorka od niego uciekła? On sam, gdy chłopiec nazwał go tatą, spanikował i miał ochotę zwiewać jak najszybciej. A teraz czyta bajkę jej synowi, czyli

wbrew własnej woli przywiązuje się do tej rodziny.

W głębi duszy czuje, że lekarka i dzieciak mogą chcieć go włączyć w nurt ich życia. A on przecież idzie przez życie solo. Tylko tak może przetrwać.

– Sam mogę przeczytać – rzekł chłopiec i wziął książkę od Bena.

Okej, więc jest niepotrzebny. Może wstać.

– Koziół Willy uwielbia jeść – czytał malec drżącym głosem. Przewrócił stronę. – Może zjeść wszystko.

Ben usiadł z powrotem. Kolejna odwrócona strona.

– Willi wyjada kwiaty z ogrodu. – Dzieciak spojrzał na Bena. – Podoba ci się?

Ben poczuł, jak ściska mu się serce. Żaden dzieciak nie zasługuje na obojętność.

– Jasne!

Riley ziewnął rozdzierająco. Ben wziął książkę i zaczął czytać od następnej strony. Po kilku minutach malec spał. Ben go przykrył, wstał i patrzył. Dość. Trzeba stąd wyjść. Jeszcze trochę takich rozmyślań, a sam stanie się częścią życia dziecka. I jego matki.

W przedpokoju stało mnóstwo nierozpakowanych paczek. Hol też był nimi zastawiony. Czyżby przed opuszczeniem Anglii doktorka wykupiła cały towar u Harrodsa? Jedyne pokój dziecięcy został jako tako urządzony. Matce z pewnością zależało przede wszystkim, by dziecko poczuło się dobrze w nowym miejscu. A więc jest dobrą matką. Zaraz zobaczymy, czy równie dobrą lekarką.

Gdyby rana Effie nie wymagała szycia, Ben dałby sobie radę. Stwierdził jednak, że nie obejdzie się bez pomocy. Mógłby ją zawieźć do szpitala, ale zajęłoby to sporo czasu, zdecydował się więc poprosić o pomoc nową le-

karzę. Możliwe, że kobiety już się poznały, choćby widząc się zza płotu. Słuszne więc było przyniesienie gospośki tutaj.

Historia lekarki zaintrygowała go. Co ją przygnało do prowincjonalnego szpitala na końcu świata? Jako specjalistka z pewnością mogła liczyć na stanowisko w bardziej nowoczesnej i prestiżowej placówce. Nie mówiąc już o większej gaży.

Wyspy Cooka nie kuszą profesjonalistów. Tutejsi cudzoziemcy to co najwyżej Kiwi, którzy przyjechali spędzić wakacje w rajku i postanawiają zamieszkać tu przez rok czy dwa. To samo będzie z nią. Chyba że znajdzie wspólny język z personelem szpitala, który jest tu naprawdę niezły.

Czy smutek jej oczu ma coś wspólnego z wyborem tak odległej części świata? Pewnie tak. Ten smutek budzi chęć pocieszenia jej. Jakże chętnie ujrzałby na tej twarzy blask, usłyszał śmiech. Hej, facet, ona nie przyjechała tu po to, żebyś się wtrącał w jej życie. Zazwyczaj unikasz smutnych ludzi. Dlaczego dla niej chcesz zrobić wyjątek?

Odetchnął głęboko. W holu zobaczył lekarzę pochyloną nad Effie. Przemyciała jej rany jodyną i przepraszała za zadawany ból.

– Staram się robić to jak najdelikatniej. Jutro spróbujemy komputerowo zbadać pani oko.

– Na całej wyspie nie ma ani jednego tomografu – odezwał się Ben. A co ona niby sobie wyobraża?

Szeroko otworzyła oczy.

– Naprawdę? To jak mam stwierdzić, co się dzieje z pacjentem?

– Poważniejsze przypadki są przewożone do Auckland. Reszta w pani rękach. – Ben zagryzł wargi. Czy Lissie jej nie uprzedziła? Czy naprawdę on musi ją informować o podstawowych sprawach?

– Widzę, że szybko muszę się przystosować do tutejszych warunków. –

Nie była chyba szczególnie zbulwersowana, bo szybko zmieniła temat. – Czy Riley zasnął?

– Tak.

– Bardzo dziękuję. Miał dzień pełen wrażeń. Bawił się z kolegami, był na plaży. Jest wykończony.

Sama z trudem powstrzymywała ziewanie.

– Pani chyba też – zauważył, może trochę zbyt pochopnie i zbyt poufale. Pora stąd iść. Do domu, gdzie czeka puszka dobrze schłodzonego piwa.

– Oczyszczałam rany, teraz nałożę szwy – powiedziała Rachel, trzymając Effie za ramię. – Zaraz podam zastrzyk przeciwbólowy, potem trzeba będzie tylko spać.

– Pomóc? – zapytał bez namysłu.

– Co takiego?

– Pomogę.

Gdzie on podział rozum? Przecież dopiero co przysiągł sobie, że nie będzie się jej w żaden sposób narzucał. Ale słowa padły, nie mógł się wycofać. Nic takiego, policjant przecież musi pomagać ludziom. Usiadł, przyciągnął do siebie lekarską torbę i przyjrzał się lateksowym rękawiczkom. Porównał je ze swymi wielkimi dłońmi.

– No, tego raczej nie założę. Podać igłę i nici?

– Poradzę sobie.

Była zniecierpliwiona. Konflikt wisiał w powietrzu. Na szczęście Effie jęknęła, odciągając uwagę lekarki.

Ben szperał w torbie w poszukiwaniu nici i wody utlenionej. Nagle poczuł zapach lawendy. Czy to perfumy?

– Dziękuję – powiedziała, odbierając podawane przez niego

przedmioty.

Znalazł też pojemnik z igłami. Potem śledził pracę długich eleganckich dłoni lekarki.

– Może powinna dostać surowicę przeciwtężcową? Smukłe dłonie znieruchomiały na chwilę. Oj, czy nie posunął się za daleko? Grzebanie w jej rzeczach sprawiło, że stała mu się bliższa. Osłabiło jego czujność.

– Tak, Effie będzie potrzebowała czegoś na odporność – odparła lekarka. – Tylko skończę szycie.

Szukała fiołki z surowicą i strzykawki. Ben przyglądał się znajomym przedmiotom i instrumentom. Niby nie żałował, że porzucił dawny zawód. Aż do teraz.

– Effie, czy ktoś mógłby się panią zaopiekować w nocy? – zapytała lekarka.

– Mąż i córka wyjechali – odpowiedziała kobieta, z trudem odwracając obolałą głowę.

– Czy mogłaby zostać u pana? Jest w lekkim szoku.

– Zasadniczo nie ma przeszkód, ale Effie jest mężatką i wyspiarze mogliby to źle zrozumieć. Może zostać u pani.

– Obawiam się, że nie mam dodatkowego łóżka.

– Nie szkodzi.

Lekarka się wyprostowała. Była ubrana w kusy top i szorty do kolan. Ben otworzył usta, lecz szybko je zamknął. Rozpaczliwie szukał ostatnich szarych komórek, które powinny znajdować się pod czaszką. Znalazł.

– Dziękuję za wszystko, pani doktor. Effie, mam nadzieję, że szybko dojdiesz do siebie.

Wyszedł pośpiesznie. Ciężkie powietrze parnej nocy dobrze mu robi. Rozsądek zwyciężył.

## ROZDZIAŁ DRUGI

Rachel jęknęła i spojrzała na zegarek.

Czwarta dwadzieścia pięć. Cholerne koguty. Głowa opadła na poduszkę, a do uszu docierały dźwięki: świergot bezimiennych ptaków, krowy, przejeżdżający skuter. Jej nowa mała ojczyzna budzi się do życia.

Rachel przeciągnęła się i uśmiechnęła. To jednak ekscytujące znaleźć się nagle w kompletnie nieznanym świecie. Nie mogła już wytrzymać w szarym chłodnym Londynie, z milionami ludzi i pędzących aut. No i z rodzicami. Uśmiech zamarł jej na ustach.

Mama rozpaczała, słysząc o planach Rachel, ale jednocześnie na swój sposób ją wspierała. Gdyby tylko tata zmienił swój stosunek do Riley'a... Ale cóż, można marzyć. Na szczęście jest teraz tu, daleko od popapranej rodzinki.

Wczorajszy dzień i widok Riley'a zachwyconego starymi palmami kokosowymi, dziwnymi ptakami i cudowną plażą utwierdził ją w przekonaniu, że podjęła słuszną decyzję. W dniu przyjazdu chłopiec był zmęczony godzinami spędzonymi w samolotach i na lotniskach, ale już wczoraj pełen energii pluskał się w przepięknej i bezpiecznej lagunie. To dobrze zrobiło im obojgu.

Rachel wyśliznęła się z pościeli, włożyła krótką sukienkę i poszła do kuchni. Miała ochotę zacząć dzień od obejrzenia wschodu słońca przy filiżance herbaty.

– Dzień dobry, pani doktor – powitała ją Effie. – Napije się pani czegoś? Zagotowałam wodę.

– Effie? Myślałam, że jeszcze śpisz. Jak się czujesz?

Siniaki na twarzy kobiety mieniły się wszystkimi kolorami tęczy.

- Ja zawsze wstaję wcześniej. Czego pani sobie życzy?
- Poproszę herbatę. Ale nie musisz koło mnie skakać.
- Pani opatrzyła moje rany, to ja mogę podać pani herbatę, prawda?

Logiczne.

– Masz dzieci?

– Nina, moja córka, ma czternaście lat. Po szkole będzie ekspedientką w sklepie spożywczym. – Effie nie potrafiła ukryć dumy. – Zaraz pójde do Bena, pracuję u niego dziś rano.

Ben. Za płotem stoi biały bungalow, wszystkie okna ma szeroko otwarte. Rachel uśmiechnęła się do swych myśli. Taki wielki mężczyzna, w dodatku policjant, nie musi zamykać domu. Ben. Człowiek małomówny. Wczoraj zdenerwował ją nagłym zniknięciem. Zapomniał o wszelkich grzecznościowych formułkach w rodzaju: „Wkrótce znów się zobaczymy” i takie tam. Ona bardzo chciałaby się z nim znów zobaczyć, poznać go bliżej.

Myśl o nowym sąsiedzie rumieńcem wypełzła na policzki. Rachel pół nocy przewracała się w pościeli, usiłując wyobrazić sobie, jak się kochają. Ciało to ciało. Ben jest cudownie zbudowany, nietrudno wyobrazić sobie jego dotyk. I to, jak jego mięśnie prężą się pod pieśczołą palców. Zmrużyła oczy i odeszła od okna.

- Od jak dawna prowadzisz dom Benowi, Effie?
- Od dwóch lat, odkąd tu mieszka. – Effie się zaśmiała.
- To straszny bałaganiarz. Wszędzie walają się ubrania, zlew zawsze pełen naczyń. Mówię mu, że jest niechlujem, ale on się tylko śmieje.

A więc nie jest to człowiek bez skazy, Bogu niech będą dzięki. Nie znosiła perfekcjonistów.

– A może popracowałabyś także u mnie? Jestem w szpitalu zasadniczo do trzeciej. Potem wolałabym spędzać czas z Rileyem, a nie na sprzątaniu.

Przynajmniej aż on się tu nie zdomowi na dobre.

– Bardzo mi to odpowiada, pani doktor. Będę sprzątać, prać, prasować, opiekować się małym, gdy pani będzie musiała dłużej posiedzieć w pracy. Ile godzin pani chce?

– Jeszcze nie wiem. – Entuzjazm Effie wywołał na twarzy Rachel szeroki uśmiech. – Powiem, kiedy sobie wszystko jako tako poukładam, dobrze?

– Czy mam rozpakować te rzeczy?

– Dobrze byłoby, ale jeszcze nie przemyślałam, gdzie co ma stać.

– Okej, proszę mnie zawołać, jak będzie pani gotowa. Oto herbata. Idę już, muszę zrobić Benowi jajka na bekonie.

– Ben może poczekać kilka minut, a ja obejrzę skaleczenia. Hm, nie wyglądają źle. Tylko proszę ich nie zamoczyć. Nie kapać się.

– Jak to, mam nie brać prysznic? – Effie była zszokowana.

– Musisz się jakoś inaczej umyć.

Rachel próbowała jeszcze zbadać spuchnięte oko, ale tym razem Effie głośno jęknęła.

– Przepraszam. – Rachel cofnęła rękę. — Nie powiedziałaś mi, jak to się stało.

– Proste. – Effie uśmiechnęła się ponuro. – Pośliznęłam się na mokrej podłodze, upadłam na szklane drzwi, stłukłam szybę, a głową uderzyłam o róg ławeczki. Ale muszę już iść. Ben domaga się śniadania.

Effie, kuśtykając, oddalała się ścieżką w kierunku furtki. Rachel poczuła ukłucie zazdrości. Ona idzie do Bena...

Znów ten cholerny Ben. Czy naprawdę nie mogła zacząć dnia inaczej, niż myśląc o nim? Oto co ważne są jej postanowienia. Ale dość. Ben jest poza zasięgiem. Z drugiej strony to sąsiad, trudno będzie go unikać. A niech tam.



Taki umięśniony mężczyzna może być pomocny. Z tym, że jest dość arogancki. Tacy nie rwą się do pomagania. Wczoraj zrobił wyjątek dla Effie, chwala mu za to. Jest prawie bohaterem.

A ona już nigdy nie zbliży się do faceta w typie bohatera. Dość wycierpiała po nagłej śmierci Jamiego. Pogrzeżyła się w depresji, nocami budziła się zalana łzami. Jak może w ogóle myśleć o innym? Była zła na Jamiego, a jednocześnie piekielnie za nim tęskniła. Jeszcze nie jest gotowa i chyba nigdy nie będzie. Nie przeżyłaby drugiej takiej straty, nie zwiąże się z nikim.

A może mały romans? Z takim przystojniakiem jak Ben? Spojrzała w kierunku jego domu. To nie byłoby trudne. Może nawet zbyt łatwe. Skończy się i co dalej? Każdego ranka ona będzie siedzieć przed domem, jak teraz, a on będzie na wyciągnięcie ręki. I co? Nasłuchiwanie, czy nie nadchodzi? Wyteżanie wzroku, czy nie widać jego cienia? Ta wyspa jest za mała. Tu nie da się nikogo unikać na dłużej. Ona zresztą nie potrafi ograniczać się do czystego seksu. Spróbowała raz, w czasie studiów, i do dziś żałuje. A więc – zero flirtów z sąsiadem.

Rozgoryczona wzięła herbatę i poszła zrobić sobie następną. Tym razem mocną, czarną.

Trzy godziny później Rachel i Riley, ubrani i najedzeni, ruszali na spotkanie pierwszego dnia na wyspie. Nie – rozpakowane rzeczy muszą poczekać.

– Podwieźć? – Głęboki szorstki głos z wczorajszych snów zaskoczył ją przy drzwiach.

Prawie potykając się z wrażenia, odparła niechętnie:

– Dziękuję, pojedziemy autobusem.

Cholera. W odprasowanym mundurze wygląda nieźle. Niebieska

koszula kontrastuje z czernią oczu i włosów. Mięśnie rozpychają rękawy, aż miło. Boskie ciało. Uśmiechnęła się rozmarzona. Chyba ma do tego prawo? Ben uniósł lewą brew i uśmiech zamarł jej na ustach.

Z domu wyszedł Riley. Zbliżał się powoli, dziwnie onieśmielony widokiem Bena.

– Czytałeś mi wczoraj.

– Tak jest. Cześć, koleś.

Ben się pochylił. Spodnie opinały jego szczupłe pośladki. Rachel zamknęła oczy. Nie może się tak gapić i myśleć, jak wspaniale byłoby dotykać tego ciała. Nie może stracić kontroli nad sobą. Co jej się stało? Jeden dobrze zbudowany facet, a ona już ma myśli w rozmiarze

XL. Przecież ona nie z tych, co to ulegają czarowi munduru. A jednak... Jamie w swoim wyglądał niezwykle dziarsko i ona uwielbiała go wówczas kokietować. Aha, więc to sprawka munduru, nie Bena. Chwała Bogu, że podziękowała za podwiezienie.

Ale Riley wszystko zepsuł. Uśmiechnął się do policjanta, nie bacząc, że buzię ma wysmarowaną masłem orzechowym.

– Mogę się kiedyś przejechać z tobą wozem policyjnym? Pomogamy światłami, dobrze?

Ben wyglądał na zaskoczonego.

– Świateł nie wolno używać bez potrzeby.

– Nie, Riley – wtrąciła Rachel. – Nie będziesz urządził pościgów wozem policyjnym. Ben to co innego, ale tobie nie wolno się bawić w policjanta.

Nie, jej syn nie będzie policjantem. Może pomagać ludziom, ale bez narażania życia.

– Każdy chłopiec chce zostać albo policjantem, albo strażakiem. Mają

to w genach.

– Mój syn nie.

– Jak pani uważa. – Ben wzruszył ramionami. Pokazał, że się z nią nie zgadza, ale to ona odpowiada za wychowanie Riley.

Chłopiec patrzył to na nią, to na Bena. W końcu zmienił temat.

– Dziś będę się bawił z Harrym – powiedział, zwracając się do policjanta..

Rachel poczuła ucisk w krtani. Jej smutny synek unikał nieznajomych, ale Bena w jakiś niewytłumaczalny sposób to nie dotyczyło. Może dlatego, że się nie narzucał? A co będzie, jeśli zanadto zbliżą się do siebie? Przecież ona nie planuje spędzenia tu reszty życia. Za pewien czas wyjadą i mały znów będzie miał złamane serduszko.

Ben spojrzał na nią.

– Wyruszam za pięć minut.

No i co z tego, do jasnej cholery?!

– My jedziemy do szpitala.

– Dobra, podjadę pod wasze drzwi od frontu.

Wprawdzie główna szosa nie przebiega tuż koło szpitala, ale i tak będzie im wygodniej skorzystać z propozycji Bena.

– Mogę dorzucić paczkę książek medycznych?

– Nie ma problemu.

I to wszystko? Elokwencja z pewnością nie jest mocną stroną tego człowieka. A może specjalnie robi takie wrażenie, by trzymać ludzi na dystans? Wolno mu.

Dlaczego tak inteligentny i ambitny mężczyzna osiadł na Rarotondze? To piękna wyspa, ale przy znikomej liczbie stałej ludności policjant nie ma tu zbyt szerokiego pola do popisu. Coś tu nie gra.

Ale, ale... I kto to mówi? Ty też tu osiadłaś, prawda? Lissie namawiała, to raz. Poza tym praca w małym ośrodku nie jest cofaniem się w karierze. Przeciwnie, tu będzie od podstaw zakładać poradnię chorób kobiecych. Jej kwalifikacje znacznie wzrosną.

Nie ma zatem sensu spekulować, dlaczego tkwi tu Ben, chociaż bardzo chciałaby wiedzieć. On ją interesuje, ma więc prawo czasem wściubić nos w nie swoje sprawy. Tylko ostrożnie. On może ugryźć. Na samą myśl o takim doznaniu komórki jej skóry odtańczyły szaleńczego kankana.

Ben przydźwigał pudło z książkami lekarki do jej gabinetu, a ta w tym czasie trajkotała z Colleen, swoją sekretarką. Ta kobieta po pięćdziesiątce przeniosła się na wyspę z Wellington z mężem Edem, cierpiącym na artretyzm. Ciepleszy klimat – taką mieli nadzieję – złagodzi jego dolegliwości. Według Lissie Colleen jest uosobieniem efektywności i tak zorganizuje pracę Rachel, że ta będzie musiała pamiętać jedynie o oddychaniu.

Na środku biurka pyszniła się waza z czerwono – żółtymi kwiatami hibiskusa. Obok starannie ułożono nowe długopisy i wielki notatnik. Doktorka chyba nie zdaje sobie sprawy, jak bardzo wyczekiwana jest tu osobą.

– To wszystko dla mnie? Jaka cudowna niespodzianka! – Ben usłyszał za sobą jej głos. Niechcący dotknęła jego ramienia i przez chwilę walczył z chęcią przytulenia jej. A gdyby to zrobił? Już widzi ten wybuch...

– Tak, to wszystko dla pani – odrzekł szorstko.

– Czuję się wyróżniona.

– Proszę uważać na mrówki. Mogą się ukrywać w kwiatkach – dodał, widząc jej zdziwioną minę.

Postawiła torbę lekarską na biurku. Najwyraźniej nie pojęła przestrogi.

– Mrówki mogą wejść do torby.

Jej blada twarz pokryła się rumieńcem.

– Okej, nie jestem zbyt bystrą uczennicą.

Jej skrzywione zazwyczaj usta rozjaśnił słodki uśmiech. Ben poczuł ucisk w dołku i ciepło rozlewające się po całym ciele. Rachel omiotła wzrokiem puste półki i kozetkę pod ścianą.

– No tak, nowa praca, nowe otoczenie. Czuję się przejęta. – Zaśmiała się.

– Nie będzie pani łatwo.

Czyżby zapomniała, co mówił w nocy? Ktoś musi ją uprzedzić, że tu nie może się spodziewać sprzętu diagnostycznego najnowszej generacji. Że ewentualne konsultacje będzie odbywać przez telefon lub internet. Że czekają ją chwile zwątpienia i osamotnienia, a sprostanie im będzie wymagało odwagi i hartu ducha. Powinna sobie poradzić, ale to tylko jego przypuszczenia. Wczorajsze szycie wykonała perfekcyjnie, jednak w skali trudności od jednego do dziesięciu było to zadanie za jeden punkt.

– Może się zdarzyć, że zatęsknię za Londynem, ale na razie widzę przed sobą wyzwanie. W bardzo nowoczesnym szpitalu oczywiste jest, że dostajesz wszystko, czego potrzebujesz, niejako za naciśnięciem guzika. A wszystko, co jest łatwe, rozleniwia.

Czy powinien jej powiedzieć, że może z nim przedyskutować wszelkie diagnostyczne wątpliwości? Nie, chyba nie. Nie teraz, najlepiej nigdy. Co mu się stało, że w ogóle mógł o tym pomyśleć?

– Ben, Rachel, a więc jesteście! – Do pokoju weszła rozpromieniona Lissie. – Cieszę się, Ben, że ją tu przywiozłeś. Straciłam dużo czasu na wytłumaczenie Jasonowi, że musi iść do szkoły, mimo że Harry i Riley nie idą. – Lissie mocno przytuliła przyjaciółkę. Rozluźniwszy uścisk, zwróciła

się do Bena: – Słyszałam, że biedna Effie została wczoraj wieczorem pierwszą pacjentką Rachel. Miała wypadek?

– Tak.

Ben przyglądał się zażyłości obu kobiet. Ogarnęło go poczucie straty, wykluczenia. Nie pamiętał już, kiedy ktoś obejmował go tak mocno i tak ciepło. To musiało być bardzo dawno. Ostatnio nie czuł nawet potrzeby, by go przytulano. Aż do teraz. Po nocnym przypiływie emocji związanych z Catriną boleśnie odczuł potrzebę bliskości. Musi natychmiast, zanim rozpacz weźmie górę, odnaleźć w sobie siłę dla odtworzenia ochronnej bariery, którą wznosił wokół serca i duszy. Nie potrzeba mu przyjaciół. Jest samodzielny i niezależny. Tak jest lepiej. Bezpieczniej, dla niego i dla innych.

– Skąd wiesz o Effie? – Rachel uśmiechnęła się do koleżanki.

– Tu, na Raro, wszyscy o wszystkim wiedzą. Pamiętaj o tym, zanim cokolwiek zrobisz. – Lissie odwzajemniła uśmiech. – Colleen wzięła Riley'a nad staw, żeby sobie popatrzeć na karpie. Zajmie się nim, zanim przyjedzie po niego Lanette. Ona lubi się spóźniać.

– To nie problem? – upewniła się Rachel. – Może posiedzieć ze mną, dopóki twoja szwagierka się nie pojawi.

– Już niech lepiej rozpieszcza go Colleen. Ona uwielbia dzieci, a teraz bardzo tęskni za wnukami.

Podpierający ścianę Ben nagle się wyprostował.

– Mogę zawieźć Riley'a do Lanette.

– Myślałam, że śpieszy się pan do pracy. – Rachel zacisnęła wargi. Czyżby nie życzyła sobie jego pomocy?

– Będę przejeżdżał koło domu Lanette.

– Okej, w takim razie dziękuję. Powiem mu, że nastąpiła zmiana planów. – Napięcie znikło z jej twarzy.

– Ben, a może znasz kogoś godnego zaufania, kto sprzedaje samochód? Rachel upiera się, że jest jej potrzebny, choć ja usiłuję ją przekonać do autobusów.

– Nie wyobrażam sobie, jak tarabanię się do autobusu z siatami pełnymi zakupów – rzekła z westchnieniem

Rachel. – A jeśli będę wezwana do kogoś w nocy? Autobusy wtedy nie jeżdżą.

– Proszę korzystać z mojego auta – wypalił Ben bez zastanowienia. – Dopóki czegoś nie znajdę – dodał pośpiesznie.

– A panu nie będzie potrzebne?

– Mam jeszcze wóz służbowy.

– U nas policjant ma prawo dojeżdżać samochodem służbowym do pracy – tłumaczyła Lissie. – Czyli po pracy może go trzymać, gdzie mu się podoba. – Spojrzała na zegarek. – Rachel, kilka osób chce się z tobą spotkać, zanim o dziesiątej zaczniesz przyjmować pacjentów.

– Dobra, pożegnam się tylko z Rileyem.

Ben wyszedł z gabinetu. Pora oddalić się nieco od rozpraszającej uwagę sąsiadki. Nie powinien się być w ogóle znaleźć w jej gabinecie, bardzo jednak pragnął zobaczyć miejsce, gdzie pracuje, wyobrazić sobie, co robi w ciągu dnia. Chciał ją mieć pod kontrolą, krążyć wokół niej jak zakochany szczeniak.

Na pewno jest wspaniałą lekarką. Nie potrafił tego uzasadnić, ale wygląda sensownie, wzbudza zaufanie. Kobiety na wyspie od tygodni mówiły tylko o przyjeździe nowej pani doktor. Żona jednego z kolegów zagroziła, że jeżeli nie przyjmą na etat ginekolożki, ona wyjedzie rodzić do Nowej Zelandii. Ben miał poczucie, że teraz zdrowie kobiet jest w dobrych rękach.

Wychodząc, otrząsnął się ze znajomego szpitalnego zapachu. Formalina

przenika wszystko, co znajduje się w budynku, nawet w pomieszczeniach, gdzie jej nie używano. Dla wielu ten zapach jest obrzydliwy, ale jemu nie przeszkadzał. Przypominał stare dobre czasy, gdy zaczynał edukację.

Szedł, klnąc pod nosem. Niepotrzebnie o tym pomyślał. To wina doktorki, to przez nią wskrzesił dawno pogrzebane wspomnienia. Czy Lissie nie mogła jej znaleźć domu w innym miejscu wyspy? Dlaczego on nie potrafi się powstrzymać i ciągle wyskakuje z nowymi propozycjami? Na przykład teraz, z tym podwiezieniem dzieciaka do Lanette. Ciągle chce nieść jej pomoc.

Zbliżył się do stawu i wzięwszy się pod boki, przyglądał się pochylonemu nad wodą i śledzącemu olbrzymiego karpia chłopcu. Rachel mówiła coś do dziecka, jej twarz była pełna miłości. „Trzymaj się od nich z daleka”, burczał sam do siebie, ze ściśniętym żołądkiem i trzepoczącym sercem. Wtedy życie powróci w niełatwe ale bezpieczne koleiny i będzie można znowu skryć się w cieniu.

Rachel szła za Colleen szpitalnym korytarzem. Co chwila musiała przystawać, by uścisnąć dłoń komuś, kto koniecznie chciał ją serdecznie powitać na Rarotondze.

– Zaczynam czuć się jak monarchini – zażartowała. – Mam nadzieję, że zapamiętam wszystkie te imiona.

– Będzie dobrze. – Colleen zatrzymała się przed drzwiami na oddział położniczy. – Przynajmniej tu poczujesz się swojsko.

Wchodząc do gwarnej sali, gdzie okna otwarto na oścież, Rachel zatrzymała się na chwilę, chłonąc atmosferę. Oddziały położnicze mają w sobie coś niesamowitego. To pewnie z powodu wzruszenia, jakie budzi każde nowe życie. Ciężarne i świeżo upieczone mamy przerwały na chwilę swój szczebiot, wpatrując się w nią przyjaźnie.



– Dzień dobry. Jestem Rachel Simmonds.

Otoczyły ją. Dwie młode kobiety podały jej swe noworodki. Kołysała je przez chwilę – ktoś zdołałby oprzeć się takim maleństwu?

Potem podeszła oszałamiająca piękność i przemówiła melodyjnie:

– Cześć, jestem Manea, położna. – Powitała Rachel czułym uściskiem.

– Chciałabym z tobą porozmawiać o jednej z moich pacjentek.

W małym gabinecie przylegającym do sali ogólnej Rachel wysłuchiwała opisu przypadku.

– Kiriana oczekuje pierwszego dziecka, a ma trzydzieści pięć lat. To w tutejszych warunkach bardzo późno. Naczytała się w internecie, co jej zagraża, i teraz domaga się wszystkich możliwych badań. A ja nie mogę jej ich zapewnić.

– Właśnie dlatego nie cierpię internetu. Ciężarna może z niego wynieść jedynie ogromną porcję obaw i wątpliwości – mówiła Rachel, przeglądając kartę Kiriany. – Nie widzę tu nic złego. Wszystko okej: ciśnienie w normie, nie ma anemii, wątroba zdrowa.

– Mogłabyś ją zbadać? – zapytała Manea. – Może lekarce uwierzy. Ja się z nią wychowywałam, więc moje argumenty na nią nie działają.

– Umów ją na wizytę. Wspominała coś o punkcji owo – dniowej?

– Oczywiście, na pierwszym miejscu jej listy zagrożeń widnieje zespół Downa.

– No tak – westchnęła Rachel. – Niech się zgłosi jak najszybciej.

Rozmawiały jeszcze o innych pacjentkach Manei, ale położna nie zgłaszała więcej obaw.

– Mam nadzieję, że nie będę cię zbyt często niepokoić – powiedziała, chowając dokumentację medyczną do szafki. – To wspaniale, że teraz mogę w razie potrzeby zwracać się do lekarza położnika. Myślę, że interniści też to

docenia.

– Jeszcze ich nie poznałam. Wstąpię do centrum medycznego w izbie przyjęć za kilka dni, żeby się przedstawić.

– Załatwione – zaszczębiotała Colleen. – Idziesz tam w czwartek po południu. A teraz czeka na ciebie pacjentka.

– Już? – zdziwiła się Rachel. Najwyraźniej poskapili jej czasu na aklimatyzację.

– To zwykła konsultacja. Jedna z szefowych biur linii lotniczych chce cię poznać na wypadek, gdyby coś było nie tak z jej ciążą. W przyszłym miesiącu leci do Auckland. To będzie cztery tygodnie przed terminem porodu, więc tak „na wszelki wypadek” i „dla bezpieczeństwa”... – Colleen uśmiechnęła się ostrożnie. – Tu będziesz miała pod dostatkiem tych „na wszelki wypadek”. Kiwi tacy są.

– W porządku. Rozumiem ich, są przyzwyczajeni do dużych nowoczesnych szpitali. – Rachel była lekko rozczarowana. Lubiała prowadzić ciążę od początku do rozwiązania, a nie być kimś w rodzaju chwilowego zastępstwa. Nie można jednak mieć za złe kobiecie, że na czas porodu chce być w domu, z rodziną i przyjaciółmi.

Ciągle miała w pamięci dzień narodzin Riley'a. Podane przez położną zawiniątko napawało ją przerażeniem. Półprzytomny zachwyty na twarzy Jamiego, bezwarunkowa miłość, z jaką powitał synka, zapierały jej dech w piersiach. Był z nimi prawie cały czas, a potem zabrał ją i dziecko do domu. Dlaczego więc potem odszedł? Dlaczego dał się zastrzelić? Jak mógł zrobić coś tak niewyobrażalnie głupiego – osierocić Riley'a?

Łzy napłynęły jej do oczu. Minęły już prawie dwa lata, a ona wciąż nie może pojąć, co się wtedy stało. Złość i ból nie przemijają. Idąc za Colleen, myślała o tym, że musi się pozbierać, że ludziom jest potrzebna jej siła. Musi

oddać się pracy, pacjentkom, codzienności, która pozwoli oderwać się od wspomnień. Może i przyszłość zarysuje się wówczas w nieco jaśniejszych barwach?

TTLR

## ROZDZIAŁ TRZECI

Wracała do gabinetu po zbadaniu pacjentki. Kilka dni wystarczyło, by w tym szpitalu poczuła się jak w domu.

– Pani doktor, jak poranek? – Głos Bena z końca korytarza pieścił jej skórę, zmieniając wilgotny upał w kojący powiew.

Odwróciła się błyskawicznie. Trzeba mieć nadzieję, że rumieniec na policzkach zostanie złożony na karb jej braku przyzwyczajenia do pracy w temperaturze bliskiej trzydziestu stopniom.

– Ben, co tu robisz? Myślałam, że masz dziś służbę.

– Przywiozłem kogoś do zbadania. – Przeniósł wzrok z jej twarzy na szyję i jeszcze niżej. Skóra zaczęła ją parzyć. To już nie dwadzieścia parę, to prawie czterdzieści stopni. Przy szeroko otwartych oknach klimatyzacja oczywiście jest bezużyteczna. Rachel miała poczucie, że się za chwilę ugotuje.

Spojrzenie Bena zatrzymało się na jej nogach. Nie powinna była przychodzić do pracy w krótkiej spódnicy. Nagle zatęskniła za długimi wełnianymi spodniami. Powłóczyście spojrzenie Bena miało magiczną moc. Czowała się pod jego wpływem jak meduza, prześwietlona na wskroś, do ostatniej kosteczki. A co by było, gdyby poddała się tej prowokującej zmysłowości?

Zamknęła oczy i odetchnęła głęboko. I tak nie zna odpowiedzi na to pytanie. Musi się skupić. I to nie na tym, co jej się wydaje, że on sobie myśli.

– Jakiś problem z pacjentem?

– Ma za dużo wolnego czasu.

– A od strony medycznej?

Ben się skrzywił.

– Upadł, wsiadając do ciężarówki, uderzył o krawężnik i stracił przytomność. Dostał ataku i omal nie połknął własnego języka, ale udało nam się temu zapobiec.

– Nam?

– No dobra, mnie. – Ben zachichotał.

– No to facet miał szczęście.

Dobrze że trafił na Bena, który wiedział, co robić w takiej sytuacji. Nie pierwszy raz dał dowód, że potrafi sobie radzić. Czyżby przeszedł kurs pierwszej pomocy? Jest to zapewne jeden z wymogów, by zostać policjantem na tej wyspie.

– A co z raną głowy?

– Lissie się nim zajęła. On ma twardą głowę.

Czy to miał być żart? W czarnych oczach Bena coś zamigotało. A więc się z nią droczy. No, no, patrzcie, ten człowiek ma też swoje zabawniejsze oblicze.

– Dobrze usłyszeć, że wyjdzie z tego. – Zamilkła na chwilę. – A skoro już rozmawiamy: czy nie masz nic przeciwko temu, żebym zatrudniała Effie na parę godzin dziennie?

Dlaczego o to pyta? Żeby podtrzymać rozmowę o niczym? Niewiarygodne! Sama jest w szoku – oto próbuje go zatrzymać przy sobie, sprawić, by do niej mówił. Nieważne o czym. Chce po prostu widzieć mimikę jego twarzy. To twarz twardziela, która jednak łagodnieje, gdy mu się wydaje, że nikt na niego nie patrzy. Zaciśnięte zazwyczaj usta potrafią się nagle rozciągnąć w najbardziej słonecznym, powodującym trzepotanie serca uśmiechu.

– Nie ma sprawy. Masz czas na kawę? – zapytał niepewnie. Czyżby już

zaczął żałować, że ją zaprosił?

– Tak, pacjentkę mam dopiero za dwadzieścia minut. Gdzie możemy pójść? Ja jeszcze nie bardzo się orientuję. Tak się składa, że ilekroć zaczynam potrzebować kofeiny, zjawia się Colleen z filiżanką.

Złośliwy chochlik kazał jej stanąć blisko niego i spojrzeć mu głęboko w oczy. Natychmiast dojrzała w nich błysk pożądania i przestało jej być do śmiechu. Poczowała, jak jej ciało błyskawicznie poddaje się niezrozumiałej niszczycielskiej sile. Nieodpartej i ekscytującej. Zupełnie jakby Ben nagle nacisnął jakieś ukryte przełączniki. Oblała ją fala gorąca, a przecież on jej nie tknął nawet jednym palcem.

Dużo czasu upłynęło, odkąd ostatni raz uprawiała seks. Z Jamiem. Jamie, jej jedyna prawdziwa miłość. Mężczyzna, z którym chciała spędzić resztę życia, mieć więcej dzieci. Ciarki przeszły jej po plecach, na ramionach pojawiła się gęsia skórka. Ochłonęła, wróciła do rzeczywistości.

Pragnąć Bena to błąd, ulec temu pragnieniu – to katastrofa. Cofnęła się, byle dalej od Bena, dalej od pokusy.

Jego spojrzenie pociemniało. Cóż, znaleźli się oboje w trudnym położeniu. Jeśli teraz nie opanują wzajemnego przyciągania, może dojść do utraty kontroli.

– Pomyśl o tym na przyszłość, ja jednak teraz muszę wracać do przychodni – powiedziała Rachel.

– Dobrze. – Patrzył, jakby chciał przewiercić ją wzrokiem. Czy było mu przykro? A może odczuł ulgę? Trudno stwierdzić. Ten człowiek nie rozpieszcza otoczenia nadmiarem informacji o swoich odczuciach.

– Ben, chyba zapędziliśmy się w ślepą uliczkę. Nie chcę się z nikim wiązać, ani na jedną noc, ani na dłużej. Z trudem dochodzę do siebie po śmierci męża. Mam wrażenie, jakbym siedziała na szalonej huśtawce. Raz

myślę, że wszystko się układa, a następnego dnia znów czuję się tak jak wtedy, gdy komisarz powiedział, że Jamie nigdy nie wróci. Jest mi ciężko, ciągle za nim tęsknię.

Urwała. Po co, u licha, mówi mi to wszystko? W reakcji na požądanie w jego oczach wystarczyło powiedzieć: „Nie, dziękuję”. Ale ona chciała, by te silne ramiona uniosły ją gdzieś daleko stąd. Chciała, by nieokiełznana namiętność pozwoliła na chwilę zapomnieć o wszystkim. Patrzyła na mężczyznę, który obudził w niej takie pragnienia.

– Przykro mi – szepnęła.

– Niepotrzebnie, ja cię rozumiem. – Tym razem delikatnie dotknął jej policzka.

Czyżby?

– Dziękuję.

– Moja żona zmarła prawie trzy lata temu. – Ogorzała twarz pobladła z bólu, głos się załamał, palec na policzku zadrżał. – Tęsknię za nią każdego dnia, w każdej minucie.

Oddalił się. Szedł długimi krokami, jakby przed czymś czy przed kimś uciekał. Przed nią? W każdym razie dał jej czas na przemyślenie zadziwiającej zbieżności losów. Chyba naprawdę rozumiał ją doskonale.

Zatrzasnął drzwi samochodu, przekreślił kluczyk w stacyjce i wrzucił jedynkę. Nagle coś go zastanowiło. Rachel przypomniła mu o istnieniu rzeczy, które, jak mu się zdawało, na zawsze usunął z życia. Troska o drugą osobę, dzielenie codziennych obowiązków, kupowanie mleka na śniadanie, sprzątanie stołu po posiłku.

Oparł się o zagłówek. Powiedział jej o Catrinie. Z nikim nie rozmawiał o zmarłej żonie, ani z przyjaciółmi, ani z rodziną. Z nikim. A lekarce, którą zna zaledwie od tygodnia, jednak się zwierzył. Jak to się stało? Przecież na

początku zapytał tylko, czy ma ochotę na kawę.

Tylko? Kiedy ostatni raz zapraszał kobietę na kawę? To była kawiarnia na nadbrzeżu w Wellington i chodziło o Catrinę. Patrzył, jak karmi gołębie, i natychmiast się w niej zakochał. Podszedł, przedstawił się i zaproponował cappuccino. Uśmiechnęła się i zgodziła tak szybko, że aż pomyślał, że się przesłyszał. A reszta jest historią.

Krótką historią. Życie Catriny przerwała utrata kontroli nad samochodem. Los bywa okrutny. On wyszedł z tego z zadrapaniami, a jej klatka piersiowa została zmiażdżona. Z każdym oddechem żebra wbijały się w płuca.

Całe jego medyczne przygotowanie na nic się nie zdało. Mógł jedynie trzymać ją za rękę i mówić do niej, gdy czekali na ratowników, którzy też zresztą nie mogli pomóc. Nie potrafił jej ocalić, nawet nie mógł uśmierzyć bólu. Okazał się bezużyteczny. Bezradnie patrzył, jak z pięknej energicznej kobiety uchodzi życie. Był wściekły na siebie, że kres jej cierpień powitał uczuciem ulgi.

Wciągnął haust wilgotnego powietrza. Ostrożnie wjechał w niewielką aleję. Ręce mu się trzęsły, pot spływał z czoła. O tamtym wieczorze nie myślał od miesięcy. To było zbyt bolesne. Wówczas zamknął się jeden rozdział jego życia, a zaczął następny, ten, który przywiódł go tu, w miejsce dalekie od rodziny i przyjaciół. Żonę umieścił w sercu, w ciasnym schowku, który otwierał tylko w chwilach największej tęsknoty za jej śmiechem, mądrością, paplaniną. I zawsze kończyło się to czarną rozpaczą, którą trzeba było koić kolejną alkoholową sesją w pubie.

Dlaczego więc teraz uchylił to wieko? I to przed Rachel Simmonds? Dotknęła w nim czegoś, co uważał za martwe, za wyschnięte. To nie sprawa seksu. Nie miałby nic przeciw seksowi z nią, ale nie o to chodzi. O co więc?



Nie potrafił odpowiedzieć.

Nie potrafisz, bo nie chcesz, bo się boisz.

Furgonetka mknęła coraz szybciej, Ben bezwiednie cisnął pedał gazu. Zwolnij, facet, zwolnij. Daj na luz. We wszystkim, a nade wszystko w relacjach z nową sąsiadką. Trzymaj się od niej z daleka. Niech się przyzwyczai. Powoli, powoli. Zachowuj się jak sąsiad. Opiekuj się nią, ale delikatnie. Czekaj cierpliwie na ten jeden moment.

Cierpliwie? Dobre sobie!

Rachel usadowiła się na rozłożonym na piasku ręczniku. Wyciągnąć się nad brzegiem morza – oto wymarzone zajęcie po dniu pracy. Nie żeby była szczególnie wyczerpana. Wszyscy – personel, pacjenci – byli dla niej bardzo mili. Praca dawała jej satysfakcję, czego niestety nie mogła powiedzieć o reszcie życia.

Z oddali dobiegały odgłosy odbywającego się na plaży wesela. Pan młody całował swą wybrankę odzianą w piękną, kremowo– złotą suknię. Druhny miały na sobie złote wdzianka bez ramiączek, a panowie – kremowe T – shirty, płócienne spodnie i bose stopy. Rachel się roześmiała. Kiedy wróci do domu, nikt jej nie uwierzy, że widziała weselników na bosaka. No cóż, bardzo praktycznie. Czyste niebo, błękitne wody laguny. Zapewne wielu Kiwi urządza tu sobie śluby...

– Mamo, popatrz, jak skaczą przez fale! – wołał Riley.

– Uważaj na ostre kamienie! – odrzyknęła. Skaleczenia długo się goją w tym klimacie.

– Uwielbia morze – odezwał się Ben, przysiadając obok.

Już zdążyła się przyzwyczaić, że jej ciało reaguje na jego bliskość mrowieniem w koniuszkach palców. I że niewiele da się z tym zrobić. Ale ciągle trudno było zrozumieć jego milkliwość, opór przed otwarciem się.

Tym bardziej zdumiało ją, że jednak dziś to zrobił. Dlaczego? Czy dlatego, że powiedziała mu o śmierci Jamiego? Cóż, nie wyznała mu wszystkiego, pewne rzeczy musi zostawić dla siebie.

- Umie pływać? – Spojrzenie Bena powędrowało w kierunku Riley'a.
- Nie. To jego pierwsze dni nad morzem.
- Nauczę go.
- Słucham?

Taka propozycja oznaczała jedno: będą wiele czasu spędzać razem na plaży.

- Powinien umieć. Dla jego dobra.
- Zdaję sobie sprawę. Zapiszę go na kurs.
- Na wyspie nie znajdziesz kursów pływania – odparł.
- Tutejsze dzieciaki pływają, zanim zaczną chodzić. Laguna jest bezpieczna, ale Riley musi umieć pływać tak samo jak chłopcy, z którymi będzie się bawił. Nie będą go przecież pilnować. Musi im dorównać w nurkowaniu, także ze sprzętem. Mogę zacząć go uczyć choćby dziś. Niedługo będzie pływał jak ryba.

Rachel stłumiła uśmiech. Proszę, proszę. Jak chce, to potrafi być całkiem gadatliwy.

- W takim razie przyjmuję twoją wspaniałomyślną propozycję.
- Nie jest wspaniałomyślna, po prostu rozsądna.

Riley dostrzegł Bena i już biegł ku niemu po piasku.

- Cześć, Ben. Widziałeś mnie w wodzie?
- Jasne, dzieciaku.

Dlaczego zawsze nazywa Riley'a dzieciakiem? A ją doktorką? Do tutejszych zwraca się po imieniu. Czyżby ich chciał trzymać na dystans?

- A ty? Umiesz pływać? – zwrócił się do niej, wstając.

– Nie, ale ja nie mam zamiaru nurkować.

– Ciebie też nauczę. – Wyciągnął rękę. – Zaczynamy.

Patrzyła na wyciągniętą dłoń. Dużą, silną, spracowaną. Mężczyźnie z dłońmi Bena można zaufać. Powoli podała mu rękę. Chwilę wcześniej nie chciała nawet słyszeć opływaniu, a teraz oddałaby wszystko, by razem z nim bezpiecznie zanurzyć się w oceanie.

– Zaczniemy od unoszenia się na wodzie.

Ben położył Rileya na powierzchni morza twarzą do góry. Rękami podtrzymywał jego plecy.

– Widzisz, to łatwe. Teraz doktorka.

Skrzywiła się i uklękła w wodzie, która sięgała jej do żuchwy. Wyglądała ślicznie, choć patrzyła na niego z przestraczem.

– Po prostu połóż się na plecach, wyprostuj ciało, nie zginaj się w pasie.

Spojrzał na jej talię i to był duży błąd. Uderzył go widok brylantowego kolczyka w pępku. Poczuł suchość w ustach. Dlaczego, u licha, ta kobieta musi nosić takie skąpe kolorowe bikini?

– Mamo, popatrz, już umiem!

– Ale z ciebie zdolniacha!

– Ty też się nauczysz. Ben cię podtrzyma, mnie już nie musi.

Zamknij się, dzieciaku! Sam, do diabła, nie wiesz, co proponujesz.

Ben patrzył na rumieniącą się twarz Rachel i błogosławił to, że włożył luźne szorty.

– Ty się naucz pierwszy. Ja kiedy indziej.

Wychodząc z wody, minęła Bena.

– Panikara – mruknął.

– Na pewno nie – prychnęła.

– No to połóż się na wodzie.

Może go zignoruje? Nie, Rachel zawsze stawia czoło wyzwaniom. Na przykład wówczas, gdy przyniósł jej do domu zakrwawioną kobietę. Boże, pomyślał o niej „Rachel”? A jak miał nazwać tę wyłaniającą się z morskiej piany boginię odzianą w skrawki materiału? Cholera jasna, trzeba uciekać z tej plaży.

Rachel wśliznęła się do wody i położyła na plecach. Ben gapił się na nią jak nastolatek. Rozpaczliwie próbowała utrzymać się na powierzchni. Wypięła biodra, wówczas jej talia zanurzyła się niebezpiecznie. Ben instynktownie podłożył ręce pod jej lędźwie.

– Plecy prosto! – rzucił.

Jej mokra skóra była gładka. Gdy usiłowała się wywinąć i wstać, nagłe pożądanie przeszło mu trzewia. Opuścił ręce, cofnął się, ale nie chciał wychodzić z wody. Zdawał sobie sprawę, że nawet luźne spodenki nie ukryją stanu faktycznego. Lekcja numer jeden: nie dotykaj uczniów. Zwłaszcza tej uczennicy. Lekcja numer dwa: trzeba znaleźć doktorce innego nauczyciela.

– Ben, mogę teraz spróbować na brzuszku? – Riley pluskał się tuż obok, w nieco głębszej wodzie, totalnie ufny, że przy Benie nic mu nie grozi.

– Możesz. – Był wdzięczny dzieciakowi za odwrócenie uwagi. Pokazał mu, jak trzymać głowę i jak poruszać nogami.

Rachel siedziała już na plaży, ale Ben postanowił nie patrzeć na jej piękne plecy i to, co poniżej. Zanadto go to rozpraszało.

Riley zasypiał, ledwie kończąc kolację. Tak było od trzech dni, odkąd Ben zaczął uczyć go pływania.

Układając go w łóżku, Rachel uśmiechała się czule do swoich myśli. Nigdy nie widziała synka w takim stanie: ciągle w ruchu, ciągle czymś zafascynowany. Niedługo będzie robił wszystko, czym żyją chłopcy na wyspie: ścigał się, pływał, wdrapywał na wierzchołki palm, łowił ryby,

siedząc na skałach.

Skoro Riley znalazł tu szczęście i radość, może jej się też uda? Zauważyła, że Lissie jest tu weselsza niż w Londynie. Ma więcej czasu dla dzieci, tam ciągle go jej brakowało. Przyjaciółka na pewno nie chciałaby, żeby Rachel zbyt szybko ją opuściła. No i miała Effie. Drobna kobieta miała energię dwóch potężnych bab. Robiła w domu wszystko, Rachel sama tylko przygotowywała posiłki. Tak czy inaczej, prowadziła teraz może nieco dekadentkie, ale prawdziwie rajskie życie. Przede wszystkim więcej czasu mogła spędzać z synkiem.

Ze szklanką chłodnej lemoniady w dłoni, oparta o balustradę, obserwowała zachód słońca. To była jej ulubiona pora dnia. Nikt od niej niczego nie chce. Wyspiarskie życie jest proste i wspaniałe.

Dzwonek telefonu zakłócił ciszę. Pewnie Lissie, nikt inny do niej zazwyczaj nie dzwonił. W słuchawce rozległ się jednak głos Manei.

– Możesz przyjechać? Mamy poród pośladowy.

Rachel zapaliła dodatkowe lampy. Musi wyciągnąć Rileya z łóżka, nie ma wyboru. A może ma? U Bena się pali, więc jest w domu. Może mógłby rzucić okiem na Rileya pod jej nieobecność? Nie chciała go o to prosić, i tak wiele robi dla nich obojga.

Riley padł tak wyczerpany... No dobrze, dziś wyjątkowo poprosi Bena, a jutro pomyśli o kimś, kogo można by zatrudniać w podobnych sytuacjach.

Minęła płot i zbliżała się do drzwi domu Bena, gdy z mroku dobiegło ją:

– Cześć, ty tam.

– Cześć, wystraszyłeś mnie.

Musiała przystanąć, poczekać, aż oddech się uspokoi.

– Przepraszam, że cię niepokoję, ale wezwano mnie do szpitala. Poród pośladowy.

– Jasne, bierz wóz.

– Dzięki, ale jest jeszcze jeden problem. Riley śpi jak zabity...

– Okej, u ciebie jest tak samo wygodnie jak u mnie.

A więc nawet nie odczuł, że wyświadcza jej uprzejmość.

– Nie przewidziałam, że będę potrzebować babysittera...

– Możesz na mnie liczyć, cokolwiek ci się przytrafi – uciał. A wyłaniając się z ciemności, dodał: – Effie ma siostrzenicę. Nastolatka, ale bardzo odpowiedzialna. Pracuje w aptece. Możesz z nią pogadać.

– Czy jest tu coś albo ktoś, o kim czegoś nie wiesz? – śmiała się Rachel, potrząsając głową.

– Nie sędzę. To normalne, jak się jest gliną w tak małej społeczności. – Zszedł po schodach i stanął obok niej. – Aczkolwiek jeszcze nie rozgryzłem najbliższego sąsiedztwa.

Riley nie wymagał dozoru. Spał jak aniołek z pluszowym miśkiem w objęciach. Jednak Ben już trzeci raz w ciągu godziny stawał w drzwiach i wsłuchiwał się w miarowy oddech chłopca.

Jak by to było mieć dziecko? Rodzicielstwo to coś więcej niż troska. To coś, co bezustannie obserwował na twarzy doktorki: czuła, bezgraniczna i bezwarunkowa miłość. Czy ojcowie kochają w ten sam sposób? Mieć dziecko, uczyć je pływać, wchodzić na drzewa, bawić się z nim, pocieszać – tego wszystkiego wolał sobie nie wyobrażać.

Na nocnym stoliku stała fotografia. Na niej mężczyzna trzymający Rileya w ramionach. Pewnie tata. Te same zielone oczy, wydatne usta. Biedny dzieciak, musi tęsknić za ojcem. Za mężczyzną stoi Rachel. W oczach ma wesołe ogniki. Takiej jej jeszcze nie widział – zero napięcia, zero smutku czy cienia na twarzy.

Ben odstawił zdjęcie na miejsce. Oni z Catriną postanowili trochę

poczekać, zanim będą mieli dziecko. Najpierw dom, kariera zawodowa, wygodne życie. Teraz to wydaje się głupie. Ale wówczas myśleli, że mają mnóstwo czasu, że zdążą ze wszystkim. Potomstwu trzeba zapewnić dostatnie życie. Gdyby wtedy myślał inaczej, może miałby teraz przy sobie dziecko, cząstkę Catriny.

Rozejrzył się po domu. Doktorka rozpakowała już większość rzeczy, porozwieszała obrazy. Był ciekaw, co jej się podoba, zapalił więc światło. Na ścianach królowało barwne malarstwo abstrakcyjne. Jemu się podobało. Czyżby mieli podobne gusty?

Wychylił głowę na dwór. Potrzebował ochłody po myślach o dzieciach i guście artystycznym sąsiadki. Co ich jeszcze łączy? No tak, medycyna. On ją zaczął, a Rachel ukończyła. Poczul gorycz. Co jeszcze? Upodobanie do spędzania czasu nad morzem?

Uspokój się, facet. Naprawdę chodzi ci o to, że ona cię pociąga, a ty ją. A od tego robi ci się gorąco. I to jest trudne. Jak zwykle. Nocą, gdy marzy o kochaniu się z nią. Po południu, gdy uczy ją pływać. Rankiem, gdy ona siada przed domem z kubkiem herbaty, a on walczy z chęcią pocałowania jej na dzień dobry.

Jedynym lekarstwem bywa bieg plażą i szybki kraul do rafy i z powrotem. Dziś wymyśl inne lekarstwo. Dziś pilnujesz dzieciaka. Jutro rano pójdzie do Molly i poprosi ją, by została babysitterką u Rachel. Im wcześniej, tym lepiej. On nie powinien w ogóle zbliżać się do jej domu. To tak, jakby zbliżał się do niej samej. Kiedy tylko nauczy ją pływać, powinien zniknąć. Wtedy już nic nie będzie bolało.

## ROZDZIAŁ CZWARTY

– Tereso, to jest doktor Rachel. Pomoże twojemu dziecku przyjść na świat. – Manea była bardzo pogodna, pacjentka nie może się domyślać, że coś jest nie tak.

– Cześć, Tereso. Teraz cię zbadam. – Rachel włożyła rękawice, słuchając położnej.

– Ciśnienie wzrosło, a skurcze są co niecałe cztery minuty. To druga ciąża Teresy, trzydziesty dziewiąty tydzień.

– Miałaś jakieś problemy przy pierwszym dziecku? – zapytała Rachel.

– Nie, wyskoczyło szybciotko. Nie zdążyłam nawet do szpitala. – Grymas bólu na twarzy kobiety zwiastował kolejny skurcz. – Wolałabym, żeby i to dziecko wyszło szybciej.

– Świetnie cię rozumiem. – Rachel się uśmiechnęła.

– Pani ma synka, prawda? – zapytała Teresa. – Widziałam przez okno, jak się bawi przed domem Lissie. Musi pani uważać, żeby się nie spiekł, taką ma jasną skórę.

– Kupiłam cały kontener blokerów, kiedy tu przyjechaliśmy. – Rachel zakończyła badanie i wyprostowała się. – Okej, Tereso. Twoje dziecko próbuje wyjść tyłem. Ale nie martw się, pomożemy mu. Jest tu twój partner?

– Czeka w domu. Ma przyjechać, jak dziecko się urodzi.

– Nie zrobimy cesarskiego? – zapytała cicho Manea. – Myślałam, że lekarze zawsze je stosują.

– Jest za późno. Cesarka byłaby dobrym wyjściem, gdyby Teresa zgłosiła się kilka godzin wcześniej. Poza tym naturalny poród jest zawsze na dłuższą metę korzystniejszy.



Rachel pochyliła się nad umywalką. Wszystko gotowe.

– Przy następnym skurczu mocno przyj, dobrze?

O już połowa tyłeczka wyszła. Jeszcze jeden wysięk. Tak jest, wspaniale. I jeszcze raz. No, mamy drugi pośladek. A oto i nóżki. – W końcu Rachel dostrzegła tuż przy ujściu nasek i usta niemowlęcia. Odetchnęła z ulgą. – No, prawie już.

Po chwili miała w rękach śliskie i ciepłe ciało nowej istoty. Spojrzała na pomarszczoną buzię. Jezu! Nigdy nie przestanie się zachwycać widokiem noworodka. A ten poród wzruszył ją najbardziej od czasu narodzin Riley.

Manea zawinęła chłopczyka w ciepły koc, otarła mu nasek, po czym ssawką oczyściła drogi oddechowe.

– Proszę, Tereso. Przedstawiam ci twojego syna.

Teresa patrzyła na dziecko. Po policzkach spływały jej ogromne łzy.

– Jest piękny. Manea, możesz zadzwonić do Taungi w moim imieniu? Ucieszy się, że tym razem jest syn.

Wielka łza pojawiła się również w kąciku oka Rachel. Czy ona jeszcze urodzi dziecko? Brata lub siostrę Riley? No tak, do tego potrzebny jest facet. I to nie pierwszy z brzegu, ale dobry, kochający, taki, który zostanie z nią na zawsze. Ciekawe, dlaczego od razu przyszedł jej na myśl Ben?

Zaparkowała auto Bena przed jego domem. Czowała oszołomienie, jak zwykle, gdy pomagała dziecku przyjść na świat. Myślała o radości Teresy i Taungi, jej męża.

Jak zwykle też przypomiwała sobie pierwszy oddech Riley i nabożeństwo, z jakim Jamie wpatrywał się w synka. Jamie. Tak ciężko go zapomnieć! Riley go potrzebuje. Pewnych rzeczy chłopiec może nauczyć się tylko od ojca. Ben próbuje, ale.

Ben. Silny, przystojny, zupełnie jak Jamie. Czy to ją w nim pociąga?

Czy usiłuje zastąpić jednego faceta innym? Nie, nie ma mowy. Jamie był ryzykantem, wierzył, że jest niezniszczalny.

A Ben? Chętny do pomocy, ale chyba rozsądniejszy. Niewiele o nim wie. Wsiadła z samochodu. Powietrze w nocy było chłodniejsze, Bogu dzięki. Pewnie nie będzie kłopotów z zaśnięciem, musi się tylko trochę wyciszyć. Nie myśleć o noworodkach. Ani o Benie.

– Słyszałem, że Teresa urodziła zdrowego chłopaka. Z nowej lekarki też jest bardzo zadowolona.

Ben siedział na jej ganku z nogami wyciągniętymi przed siebie. Plecy opierał o ścianę.

Może kiedyś przywyknie do prędkości, z jaką rozchodzą się tu wieści.

– Tak, wszyscy zdrowi i szczęśliwi. Misja spełniona. Mogłeś wejść do środka, wiesz?

– Wolę tu.

– Jak Riley? Budził się?

– Ani pisnął.

– To pływanie bardzo go wyczerpuje, w dobrym sensie oczywiście. – Ją też wyczerpuje. – Dziękuję, że go uczysz. Nabędzie pewności siebie.

– Tego mu nie brakuje.

– Masz rację. – Uśmiechała się przez sekundę. – Śmierć Jamiego była dla niego wielkim ciosem, ale chyba już wraca do siebie. Mam nadzieję, że na dobre.

– Czekają go jeszcze wiele ciężkich chwil, będzie miał wzloty i upadki – zauważył Ben, a wyglądało na to, że wie, o czym mówi. – Wyjdzie jednak z tego silniejszy. Dzieci są odporniejsze niż dorośli.

– Naprawdę tak myślisz?

Nie odpowiedział. Rachel w milczeniu przysłuchiwała się odgłosom

nocy. Ruch na drodze zamarł, restauracje się pozamykały. Turyści pewnie już odpoczywają w hotelach czy wynajętych letnich domach. Tubylcy śpią, bo muszą wcześniej wstać. Praktycznie jedynym słyszalnym dźwiękiem jest jednostajny szum fal rozbijających się o piasek plaży.

Uśmiechnęła się. Kochała ten dźwięk. W nocy kołysał do snu. Pomagał przywiązać się do nowego miejsca, koł tęsknotę za domem.

– Jak sobie radzisz z utratą? – Głęboki męski głos przeciął magiczną ciszę.

– Dzień po dniu, jakoś to idzie – odparła zaskoczona, że dyskretny dotąd Ben zadał takie pytanie. Podniosła się ze schodka. – Zrobię herbatę. Napijesz się?

– Jasne.

Czy do niego nic nie dociera? Przecież ona proponuje herbatę jedynie grzecznościowo, licząc na odmowę. Jest już tak późno, że mógłby sobie pójść. Ma dokąd.

– Jaką pijesz?

– Czarną, mocną.

– Bez cukru?

– Myślisz, że powinienem się dosłodzić?

Fakt, mimo postury niedźwiedzia jest wystarczająco słodki.

– To jak? Trzy łyżeczki?

– Przepraszam cię. Też nie lubię, gdy ludzie pytają, jak mi idzie. Większość z nich nie ma najmniejszego wyobrażenia, o co pyta.

– Ale ty masz. – Już mu wybaczyła. – Najgorzej jest usłyszeć, że najwyższy czas wziąć się w garść.

– Tak, dlatego opuściłem Nową Zelandię.

– Po śmierci Jamiego przeszłam przez wszystkie fazy smutku. Potem

byłam wściekła.

– To też jest chyba normalne.

– Nie, byłam wściekła, bo Jamie nie musiał zginąć. Zrobił to na własne życzenie. – Zaczęła skubać lakier na paznokciach. – Czasem myślę, że jestem bardziej wściekła niż smutna. Może dlatego opuściłam Londyn. Gdybym potrafiła opanować gniew, pewnie bym tego nie zrobiła.

– Uważasz przyjazd tu za błąd?

To pytanie dręczyło ją w czasie całej długiej podróży z Anglii. Może uległa Lissie, bo nie mogła już dłużej słuchać troskliwych rad innych przyjaciół? Teraz uważa jednak, że Lissie miała rację. To miejsce ją uleczy.

– Jeszcze nie wiem, jest za wcześnie. – Odwróciła się do Bena. – Ale bardzo możliwe, że postąpiłam słusznie. To może być dobre. Dla Riley'a i dla mnie.

„I dla mnie”. Ben powtarzał sobie te słowa pół godziny później, leżąc w łóżku na wznak, z rękami pod głową. Rozpamiętywał rozmowę o tym, jak doktorka daje sobie radę z tragedią, która ją spotkała.

Jest taka bezbronna, pomyślał. A on? On to dopiero jest bezbronny. Nie poradził sobie ze śmiercią Catriny, nawet nie zaczął próbować. Pograżył się w żalu i nawet nie usiłował sprawić, żeby być teraz choć odrobinę bardziej szczęśliwym. Przecież porzucił mrzonki o karierze lekarza. One cię przytłaczały, powinno być ci lżej.

Przytłaczały? Ben usiadł na łóżku. Tak, powodowały nocne koszmary. Gdy był dzieckiem, jeden z pasterzy zatrudnianych na farmie ojca wpadł pod quada. Jedenastoletni Ben nie zdołał podnieść ciężkiego pojazdu. Poszkodowany strasznie krzyczał, a chłopiec szybko pobiegł na wzgórze i zawołał pomoc. Został uznany za bohatera. Przez wszystkich, tylko nie przez siebie. Wtedy pomyślał, że powinien zostać lekarzem i pomagać ludziom. Ale

się nie udało.

W czasie studiów dowiedział się, że lekarz nie zawsze potrafi zwalczyć ból. Można człowieka operować, nastawić mu złamaną kość, a on i tak, gdy morfina przestanie działać, będzie patrzył na ciebie oczami pełnymi udręki. Rozszerzonymi, bądź – przeciwnie – zwężonymi z bólu. Z pobielającymi wargami, zaciśniętymi dłońmi. Ben nie umiał spojrzeć na cierpiącego pacjenta. Co to za lekarz, który nie potrafi pomóc w męczarni?

Wypadek żony był kroplą, która przeppełniła czarę. Widok niewyobrażalnego cierpienia ukochanej kobiety zdruzgotał go doszczętnie. Wtedy postanowił zrezygnować z zawodu lekarza. Co by Catrina powiedziała, widząc go dziś?

– Byłaby mną rozczarowana.

Cholera, jakoś dotąd sobie tego nie uświadamiał. Dopiero od kilku dni pewna kobieta powoduje, że wraca myślą do rzeczy, które chciał zamieść pod dywan. Brakowało mu dawnego życia, tęsknił za Catriną. Ale powoli musi się odciąć od przeszłości, wypełnić pustkę nowymi możliwościami, nowymi ludźmi.

Rachel. Jej syn. A może własne dziecko?

Uff, jednak nie obędzie się bez joggingu.

Nie potrzebuje Rachel. Nie potrzebuje nikogo. Kochał tylko Catrinę. Rytm myśli dopasował się do rytmu biegu.

Catrino, słyszysz mnie? Patrzył w niebo, starając się wypocić z siebie całą rozpacz. Potrzebuję cię, kochanie. Chcę, żebyś w końcu odeszła i chcę mieć cię przy sobie. Jak to możliwe? Co mam robić?

Coś leżało na środku drogi. Potknął się. Przez chwilę bez powodzenia usiłował utrzymać równowagę. Kolana i przedramiona doznały jednak bolesnego kontaktu z szorstką nawierzchnią drogi. Zaczynało się przejaśniać,

gdy podniósł się i z trudem powlókł do domu. Jeśli to miał być znak od Catriny... No cóż, nie jest dobrze.

Rankiem Rachel wyruszała do pracy. Pomachała ręką do Bena, ale coś ją tknęło.

– Wszystko w porządku?

– Taaa... – odpowiedział, kuśtykając w stronę policyjnej furgonetki. Na ramieniu miał świeżą ranę.

– Co ci się stało?

– Potknąłem się o śpiącego kundla. Riley, przyjdiesz dziś wieczorem popływać, koleżko?

Koleżka. Tak, ci dwaj są w świetnej komitywie.

– Tak! – Riley wrzasnął, jakby Ben był na drugim końcu wyspy.

– Do zobaczyska. – Ben pomachał chłopcu, nie jej.

Rachel patrzyła za oddalającym się autem. Ten facet bywa czasem zbyt grubiański. Ona uprzejmie pyta go o skaleczenie, a on... Na drugi raz zignoruje go, nawet jeśli przyjdzie o kulach, okutany w bandażu.

Zostawiła Rileya u Lanette. W szpitalu panował miły nastrój. Wszyscy – pacjentki i personel – starali się ją zapoznać z historią swego życia, swej rodziny i swych chorób.

Tuż przed południem Manea odniosła do gabinetu Rachel kartę ostatniej pacjentki.

– To ja już mam wolne. Chyba żeby dzieciak mojej siostry chciał się koniecznie wydostać na świat.

Pogawędkę przerwał im dzwonek telefonu.

– Doktor Simmonds, słucham.

– Pani doktor, tu Sam Carter z izby przyjęć. Niestety okazuje się, że pilnie potrzebuję pani pomocy.

– Co to za przypadek?

– Zgłosiła się turystka. Dwadzieścia dwadzieścia pięć lat, ostry ból brzucha, mdłości, ból ramienia. Mówi, że od ośmiu tygodni nie ma miesiączki. Podejrzewam ciążę pozamaciczną.

No pięknie. A tu nawet nie ma ultrasonografu. Jak można w tych warunkach być pewnym diagnozy? To są uroki pracy na końcu świata...

– Nazywa się Jennifer Tipping, a najważniejsze jest to, że jutro bierze ślub. Nic dziwnego, że szaleje z niepokoju.

Biedna dziewczyna. Wesele w szpitalu? Pewnie wymarzyła sobie ślub na plaży.

Wkrótce pojawili się Jennifer i jej narzeczony, oboje ciężko przerażeni.

– Tak się cieszyliśmy na ten ślub. Goście wydali kupę forsy, żeby tu przylecieć, a teraz trzeba będzie wszystko odwołać – chlipała dziewczyna.

– Zanim cokolwiek odwołasz, pozwól, że cię zbadam. – Rachel naciągnęła lateksowe rękawiczki i pomogła pacjentce zająć pozycję w fotelu. Narzeczony patrzył w okno. – Nawet jeśli będzie potrzebna operacja, możliwe, że po dwóch dniach staniesz na nogi. Nie będziesz mogła galopem ścigać się po plaży, ale nie sądzę, żeby to było w programie uroczystości.

– Pani doktor, błagam, niech pani coś zrobi z tym bólem.

– Od jak dawna źle się czujesz?

– Trudno mi powiedzieć. Od jakiegoś czasu, ale myślałam, że to przez te przygotowania. Dziś to co innego. Czuję się naprawdę chora, ramię boli mnie potwornie.

Rachel rozpoczęła badanie.

– Wiedziałaś, że jesteś w ciąży?

– Skądże! – jęknęła Jennifer. – Kiedy tamten lekarz zrobił mi test, byliśmy bardzo zaskoczeni, prawda, Harvey?

– Jasne. Nie wiem, jak to się mogło stać – odparł chłopak, nie odwracając się od okna. Jego kark poczerwieniał.

– Dzieci rzadko pytają nas o zdanie. – Rachel starała się załagodzić rozdrażnienie młodych ludzi. – Ale to dziecko niestety umiejscowiło się niewłaściwie. Będę musiała dokonać laparoskopii i usunąć embriona z jajowodu. Zostanie ci tylko mała blizna, trochę poniżej pępka.

Jennifer pobladła.

– Czy będę mogła po tym mieć dzieci? Chcemy mieć rodzinę, prawda, Harvey?

Teraz młodzieniec ruszył się z miejsca. Podeszedł do Jennifer i objął ją ramieniem.

– Oczywiście.

– Jeśli uda mi się ocalić jajowód, nie będzie żadnych problemów. A nawet jeżeli mi się nie uda, pozostaje drugi. Mnóstwo kobiet z powodzeniem zachodzi w ciążę i rodzi dzieci po takich przypadkach.

– A może to jednak wyrostek robaczkowy? – zapytała Jennifer.

– Przykro mi. Ból jest w obu przypadkach podobny, ale tu dochodzą objawy ze strony ramienia, co wskazuje na krwotok wewnętrzny. A ten nie występuje przy zapaleniu wyrostka.

– Okej, pani na pewno wie, co robić. To całe wesele... Miał być najpiękniejszy dzień w życiu, a tak wyszło... – Dziewczyna szlochała wtulona w pierś narzeczonego. – Harvey, tak mi przykro.

– Przestań. To nie twoja wina. – Chłopak pokrywał zapłakaną twarz Jennifer drobnymi pocałunkami.

Ta para potrzebuje kilku chwil dla siebie. Rachel wymknęła się z gabinetu, podążając w stronę sali operacyjnej.

– Zaraz wracam.



## ROZDZIAŁ PIĄTY

Hepi, mąż Effie, włączył na pożegnanie klakson. Właśnie skończyli kolację z grillem. Effie, Nina i Rosy machały mu wychylone z okien.

– A więc kolejny dzień w raju zbliża się do końca.

Weszła do nieskazitelnie czystej kuchni. Effie i jej córki uparły się zrobić generalne porządki.

– Co to jest raj? – zapytał Riley.

Podrapała synka po głowie. Przez ostatnie tygodnie zrobił się z niego prawdziwy, niezależny mały mężczyzna. Poruszał się pewnym krokiem, tak jak Ben. I tak jak on brał się pod boki.

– Raj to takie piękne słoneczne miejsce, gdzie wszystko jest cudowne i przyjazne.

W Londynie nie wiedziała, że człowiekowi może być codziennie ciepło. Wzięła ze sobą stos swetrów i długich spodni. Pewnie ich nigdy nie włoży, a nawet nie może oddać do sklepu z używaną odzieżą. Tu nikt niczego takiego by nie kupił.

Lubiła codzienne kąpiele morskie. Cieszyła się, że do pracy może przyjść w krótkiej spódnicy i w topie. Że wieczorem może posiedzieć na tarasie.

– Pójdę posłuchać chrabąszczy – oznajmił Riley, kierując się ku drzwiom. Jeszcze jedna zmiana. W Anglii przenigdy nie wyszedłby z domu po zmroku. A już na pewno nie na spotkanie z owadami.

– Powinieneś teraz być w łóżku, kochanie.

– Jutro sobota, odeśpię sobie.

– Dobra, wyjątkowo daję ci dodatkowe pół godziny.

Budzące ją wczesnym rankiem koguty jemu jakoś nie przeszkadzały.

Pięć minut później Riley zaniepokojony wpadł do kuchni.

– Mamo, tu nie ma taty.

Co takiego? Rachel zamarła, usiłując się domyślić, co mały ma na myśli. Tata? Przecież Jamie został pochowany w Anglii.

– Nie mogę znaleźć gwiazdy taty. Może się rozbiła?

Co za ulga. A więc chodzi o gwiazdę, którą wyznaczyli sobie jeszcze w Londynie. Wybrała taką, którą łatwo było Rileyowi odnaleźć.

– Chodź, poszukamy razem.

Mały wsunął rękę w jej dłoń.

– Muszę znaleźć tatę. Muszę mu opowiedzieć o rybie, którą Hepi przyniósł na kolację.

Usiedli na schodkach i przez chwilę patrzyli w niebo.

– Wiesz co, Riley? Chyba musimy znaleźć inną gwiazdę. Przenieśliśmy się na koniec świata i gwiazda taty musi być tam, gdzie ty.

– A skąd on ma wiedzieć, gdzie ma się przenieść?

– Najpierw wybierz gwiazdę. Która z nich wydaje ci się najłatwiejsza do odnalezienia? Musi być większa i jaśniejsza od innych.

Riley patrzył w górę, a ona wstrzymywała oddech. Jeśli mały nie będzie umiał wybrać gwiazdy, rozplacze się, a jej tak trudno patrzeć na łzy synka. Już się wydawało, że pogodził się ze stratą, a tu...

Tak samo i ona. Już budziła się rano bez lęku o to, jak uda się przeżyć dzień. Jej życie, jej dni nabrały sensu. Było tyle kobiet, którym mogła pomóc.

– Ta! – krzyknął nagle Riley. – Widzisz, mamo?

Rachel usiłowała dojrzeć, w którą z miliona gwiazd wycelowany jest palec malca. Nieważne, grunt, żeby on był zadowolony.

– Okej. Teraz usiądź spokojnie i porozmawiaj z tatą w myślach.

Wyjaśnij mi, dlaczego trzeba znaleźć dla niego inną gwiazdę i poprosić, żeby się na nią przeprowadził.

Riley wyciągnął się, głowę położył na jej kolanach i patrzył w niebo. Oczy miał wielkie jak piłki do tenisa. Usta poruszały się w rytm bezgłośnych słów. Po kilku minutach mrugnął i powiedział:

– Już wie, co ma zrobić. Jutro wieczorem znów z nim porozmawiam. – Ziewnął szeroko. – Jestem zmęczony, idę spać.

A więc nie trzeba go o to prosić, nie trzeba czytać bajki? Rachel się uśmiechnęła. Tak, tu powietrze jest zdecydowanie inne. Ze szklanką lemoniady w ręce mogła teraz wyciągnąć się na tarasie i też popatrzeć w gwiazdy.

Wychodząc ponownie z domu omal nie wylała na siebie lemoniady. W ciemności dostrzegła męską sylwetkę opartą o jedną z belek podtrzymujących zadaszenie.

– Ben, to ty?

– Nie chciałem cię przestraszyć – zahuczał w odpowiedzi.

– Napijesz się czegoś?

– A masz piwo?

Na szczęście dziś rano kupiła kilka butelek z myślą o takich okazjach.

– Nie widziałam, jak wracasz do domu. Szkoda, zaprosiłabym cię na kolację razem z Effie i jej rodziną.

– Po pracy byłem z kumplami na drinku.

– Co cię do mnie sprowadza? – zapytała niezbyt uprzejmie. Chciała to naprawić, ale nie dał jej szans.

– Słyszałem, jak Riley mówił o gwiazdach.

– Czy ty nie masz telewizora? Słyszałam, że na Rarotondze wszyscy są za pan brat, ale podsłuchiwanie czyichś rozmów to już chyba przesada.

- Siedziałem u siebie na schodach. Głos się niesie.
- Na przyszłość będę o tym pamiętać.
- Świetny pomysł z tymi gwiazdami.

A więc zaszczyił ją pochwałą, wielkie dzięki. Rachel wyciągnęła się na leżaku i zaczęła sączyć lemoniadę.

– No tak, jemu to pomaga. Trudno mu było pogodzić się z myślą, że ojciec odszedł na dobre. Kiedy mu powiedziałam, że tata być może ma go na oku, Riley sam wpadł na pomysł, że znajdzie gwiazdę ojca.

Spojrzała na okolony palmami trawnik. Tak, to jest raj. Któregoś dnia obudzi się w zimnym Londynie i zrozumie, że to był tylko sen.

– Mam tylko nadzieję, że nie zażąda, aby ojciec wrócił do niego z tej gwiazdy. Nie wiadomo, co się roi w takiej główce.

– Jestem przekonany, że on dobrze wie, co się stało. Chwyta się nadziei, że jednak może się mylić. Potrzebuje czasu, ot co.

– Dzięki za wsparcie – ironizowała Rachel.

Właściwie nie powinna się dziwić. Jej matka rzadko ją wspomagała. Bardziej dbała o ojca, który z każdym rokiem coraz bardziej zamykał się w sobie. Brat Rachel został kaleką wskutek wypadku przy pracy i ojciec bardzo to przeżył. Po śmierci Jamiego całkowicie odciął się od niej i Rileya. Nie życzył sobie odwiedzin, nawet telefonów. Nie był w stanie znieść widoku cierpienia bliskich.

– Jesteś świetną matką. – Ben wpatrywał się w nią uważnie.

Zakłopotana sączyła napój. Czy to na pewno ten sam Ben co zwykle? Pociągnął łyk piwa, przełknął i wierzchem dłoni otarł usta. To nie był koniec niespodzianek na dziś.

– Jak umarł ojciec Rileya?

Hm, czy ona naprawdę chce o tym mówić? Z Benem? Tu, na wyspie,

jedynie Lissie i Pita wiedzą, co się stało.

I może tak powinno pozostać. Ale Ben zaczyna być dla niej kimś ważnym. Zasluguje na odpowiedź.

– Pracował w policji, jak ty.

Jamie był bohaterem, cholernym szalonym bohaterem. Kochał dreszczyk emocji, zapierające dech w piersiach ryzyko. Chciał się ciągle sprawdzać. Niestety, nigdy nie wiedział, gdzie się zatrzymać, jak się wycofać. A powinien był. Ze względu na nią. I na dziecko.

– Zginął w nalocie na wytwórnię narkotyków.

– Był detektywem?

– Nieee, według, niego detektywi to goście, co siedzą na tyłkach i złością kawę. On był człowiekiem czynu. Wiecznie na łowach, na wojennej ścieżce, w pogoni. Wierzył, że jest niezniszczalny.

– Co się zatem stało? – zapytał Ben.

Rachel podniosła się i stanęła na najwyższym schodku. Patrzyła w dal za domem. Nie widziała morza, ale słyszała delikatny szum fal.

– To było ustawione. Boss gangu narkotykowego dostał cynk od tajnego agenta i wspólnie zorganizowali zasadzkę. Jamie i kolega zostali zastrzeleni, gdy tylko wtargnęli do magazynu.

Bo byli tacy bojowi, tacy napaleni. Czy Jamie choć przez chwilę pomyślał o niej i o Rileyu, gdy się tak podkładał, z bronią gotową do strzału?

– Niedobrze się stało.

– Niedobrze? To było głupie! Mieli czekać, aż przybędzie reszta ekip.

Ale mój mąż nie grzeszył cierpliwością.

– Rozumiem.

Co on tam rozumie! Rachel aż trzęsła się ze złości. Najpierw skaczemy, a potem myślimy, co robić dalej. Tak właśnie postąpili ci faceci. Z tym że dla

Jamiego nie było już tego „dalej”. Powinna o tym pamiętać, ilekroć poczuje cokolwiek do Bena. Jeden bohater w życiu to aż nadto.

– Zostałam sama, z dzieckiem, które tęskni za ojcem. A mnie to boli w sposób niewyobrażalny.

– Czy on wie, co ojciec wtedy zamierzał zrobić? – Ben spojrzał jej w twarz.

– Pytasz, czy zdaje sobie sprawę, że ojciec był bohaterem? – Oddychała ciężko, zupełnie jak po wyczerpującym biegu. – Obawiam się, że niestety tak.

Czarne oczy na moment zaszły mgłą. Ben opierał się o słup, jedną rękę wsunął do kieszeni, w drugiej trzymał butelkę z piwem. Ciągle na nią patrzył.

– Rozumiem.

– Czyżby? Czy ty wiesz, jak to jest powiedzieć dziecku, że jego ojciec nigdy nie wróci do domu? Powtarzać to raz po raz, bo „nigdy” jest dla małego chłopca słowem niepojętym? A wszystko dlatego, że Jamie postanowił tego dnia zabawić się w cholernego bohatera! Bohaterowie powinni pamiętać, że poza ustawianiem się na linii ognia mają też inne obowiązki. Albo niech się nie żenią, nie mają dzieci.

Rachel zamilkła. Kochała Jamiego, z wzajemnością. Wiele razy błagała go, by zwolnił tempo, był ostrożniejszy. On odwzajemniał się jej szerokim uśmiechem i mocnym uściskiem, który miał utwierdzić ją w przekonaniu, że wszystko jest pod kontrolą. Raz nawet zapytał, dlaczego ufa mu mniej niż jego przełożeni. Nie potrafiła tego wyjaśnić. Kochała go i miała nadzieję, że razem szczęśliwie spędzą resztę życia, ale to najwyraźniej nie było wystarczającym zabezpieczeniem.

Ben zaczął schodzić po schodkach. Nagle jednak odwrócił się i dotknął jej dłoni. Jego ciemne oczy wyrażały gniew i coś jeszcze. Ból? Czyżby rozumiał jej bezsilną wściekłość? Czy jego też ktoś tak bardzo skrzywdził?

– Ben? – wyszeptała.

– Jesteś bardzo dzielna, doktorco. – Pochylił się i złożył na jej dłoni delikatny pocałunek. – Wyjdiesz z tego, wszystko będzie dobrze.

Oddalił się w kierunku swego domu.

Znów nazwał ją doktorką. Przynajmniej sobie trochę pogadali. Dotknęła palcami miejsca na dłoni, które pocałował. Otworzyli się przed sobą niczym przyjaciele. Poczula w sercu lekkie ciepło. Pocałunek był powściągliwy, nie tak namiętny jak w jej snach, ale przecież na więcej nie ma co liczyć. Ich relacja nigdy nie wyjdzie poza etap nieco niepewnej przyjaźni. Nie będzie pocałunków w usta, przytulania się.

Zbliżyła palce do twarzy, jakby chciała poczuć jego zapach. Przez chwilę oddała się marzeniom. Obejmuje Bena, kocha się z nim. On jest namiętny, nie potrafi tego ukryć pod maską małomówności i spokoju. To przebija z każdego dumnego kroku, z każdego – rzadkiego i ulotnego – uśmiechu. Jakim jest kochankiem? Na pewno nie samolubnym, tak jak nie jest egoistą w codziennych kontaktach z ludźmi.

Czy mogłaby się znów zakochać? Byle nie w kolejnym bohaterze, to byłoby nieodpowiedzialne. Z kimś takim jak Ben nie można też mieć dzieci. Nie da się ukryć, jej zagadkowy sąsiad nie jest dobrą partią.

Ale pomarzyć można, prawda?

Ben okrążył swe domostwo i wyszedł na ścieżkę prowadzącą ku morzu. Gdy doszedł do linii, gdzie chłodna woda obmywa wciąż jeszcze ciepły piasek, zwolnił kroku.

Miał nadzieję, że delikatne uderzenia fal ukoją jego wzburzony umysł i powstrzymają gonitwę myśli. Opuścił głowę, przycisnął podbródek do piersi, ale to niewiele dało. Ciągle miał szaloną ochotę tulić w ramionach doktorkę i pocałunkami przeganiać smutek z jej niebieskich oczu. Boże, on ją przecież

pocałował. Na chwilę się zapomniał, ale chciałby więcej. Całować, smakować, sprawić, by się uśmiechała. By była jego.

Ściągnął ubranie i w bokserkach wszedł do wody. Po chwili zanurkował. Ciepła słona woda też nie zdołała wygrać z myślami o doktorce. Został pod wodą tak długo, jak pozwoliły mu na to płuca.

Wyszędłszy na brzeg, oddychał głęboko. Leżał, patrząc na gwiazdy. Ciągle miał w pamięci zapach jej włosów, ciepło ciała. Zapragnął jej, natychmiast. Tu czy gdziekolwiek, byle już. Niemal czuł, jak jej giętkie ciało oplata go, wciąga w czeluść.

Leżał, czekając, aż serce zwolni swój szalony rytm. Nic nie zajdzie między nim a doktorką tej nocy. Ani żadnej innej przeklętej nocy. Ani żadnego dnia.

Szybko płynął w stronę rafy. Tam znów pomyślał o doktorce. Powinien iść do miasta, wypić jeszcze kilka piw z kumplami, a może skorzystać z towarzystwa gotowych na wszystko turystek, których nie brak o każdej porze dnia i nocy. Często tak robił. Zaspokajał pragnienie, unikając zbędnych komplikacji.

Ale dziś jakoś nie miał ochoty. Co więcej, przypomniał sobie, że nie wdawał się w miłostki, odkąd po raz pierwszy spojrzął w oczy Rachel. Dlaczego? Ano dlatego, że gdy tylko pomyślał o przygodnym seksie, w oczach stawała mu – niczym wyrzut sumienia – Rachel. Zupełnie jakby był jej winien wierność. To przecież śmieszne!

W jego życiu nie ma dla niej miejsca. Dla nikogo innego też nie. Musi żyć sam. To może mało twórcze i bezcelowe, ale za to bezpieczne. Nie może dać się znów zranić. I – co ważniejsze – nie może zranić kogoś, kto mu zaufa. Jest przecież policjantem, musi być twardy i odpowiedzialny, Nie może się z nikim cackać.



Znów leżał na piasku. Kochał to miejsce i żyjących tu łagodnych ludzi. Ani przez moment nie żałował, że opuścił Wellington i rzucił studia. Zostać policjantem w wieku trzydziestu dwóch lat to nie problem w okolicy, gdzie najcięższe zbrodnie to drobne kradzieże, ewentualnie bójkki. Tu nie ma morderców ani producentów narkotyków. Lubi służyć ludziom i tu może się w tym spełniać w sposób optymalny. Przynajmniej nigdy nie czuje się bezradny.

Gapiąc się w rozgwieżdżone niebo, pomyślał o dzieciaku. Którą gwiazdę przeznaczyłeś tacie? Jesteś dzielnym człowieczkiem. To nic dziwnego, bo masz bardzo dzielną mamę. Silną, opiekuńczą, wspierającą, kochającą z całego serca. Tę miłość widać na każdym kroku.

Czy męża kochała równie mocno? Pewnie tak, doktorka nie robi niczego na pół gwizdka. Szczęściarz. Dlaczego więc wtargnął wówczas do magazynu, nie myśląc o własnym bezpieczeństwie?

Gdyby on, Ben, mógł codziennie wracać do domu, gdzie czeka Rachel, byłby ostrożny nawet przy przechodzeniu na pasach, nie mówiąc o akcjach zbrojnych.

Bum! Tuż obok spadł kokos. Ben uśmiechnął się, słysząc znajomy dźwięk, ale po chwili uśmiech zamarł mu na ustach. Przecież co roku spadające orzechy zabijają kilka osób. Czy doktorka wie, jak niebezpiecznie jest siedzieć pod palmą kokosową? Czy chroni przed tym dzieciaka?

Zapamiętaj: to pierwsza rzecz, jaką jej powiesz rano. A więc ją zobaczy. Jak dobrze wiedzieć.

Ciągle był skołowany. Niech lepiej Effie powie o tych kokosach; jemu nie wolno zbyt mocno bratać się z doktorką. Ona i jej dzieciak wrastają w wyspiarską codzienność. Ale pewnego dnia Riley może zechcieć zaznać życia w wielkim świecie czy też po prostu zdobyć lepsze wykształcenie,

którego tu nie dostanie. Może będzie wracał na wyspę, a może nie.

Rachel ma na razie roczny kontrakt, choć Lissie wspomina coś o stałym etacie. Czy będzie chciała przedłużyć pobyt? Niekoniecznie. To będzie zależało od edukacji Rileya. Może go wysłać do szkoły z internatem w Wielkiej Brytanii czy Nowej Zelandii albo po prostu wyjedzie, by przy nim być. Pewnie tak zrobi, Riley jest dla niej wszystkim.

A zresztą, to nie jego sprawa. Jest tylko sąsiadem, z którym miło spędza się czas na grillu po męczącym dniu.

Zrobiło mu się smutno, gdy sporządził w myśli listę postanowień związanych z Rachel: zero randkowania, zero seksu, zero czegokolwiek. Rachel jest poza zasięgiem. Na zawsze. Dla jej dobra.

## ROZDZIAŁ SZÓSTY

– Colleen, co ty robisz? – Rachel patrzyła na tyłek sekretarki wystający zza biurka.

– Porządki – usłyszała przytłumioną odpowiedź. – Tu jest cała sterta starych gazet i papierów.

Rachel wzięła kilka gazet, przeleciała wzrokiem tytuły. Typowe: kłótnie polityków, trochę lokalnych newsów.

– Spójrz na to. – Colleen podała jej zadrukowaną kartkę. – To było jakiś rok temu.

Rachel przeczytała tytuł: „Bohaterski policjant”. Poczowała ucisk w żołądku.

„Starszy posterunkowy Ben Armstrong wskoczył do wzburzonej wody, by uratować dwóch chłopców łowiących ryby. Chłopcy bez pozwolenia wzięli łódkę ojca. Szkwiał uderzył w nią, przewrócił i łódka zaczęła tonać. Armstrong spostrzegł, że chłopcom grozi niebezpieczeństwo, i popłynął im na ratunek”.

Rachel zrobiło się niedobrze. Rzuciła gazetę na biurko Colleen. Bohater. Kolejny żaloszny nieszczęsny bohater. Facet, który czyjeś życie ceni bardziej niż własne. To piękne i szlachetne, ale co z ludźmi, których zostawi, jeśli coś się nie uda? Są dla niego nikim?

– Rachel? Wszystko w porządku? – Zatroskany głos Colleen dochodził do niej z bardzo daleka.

Rachel zacisnęła powieki, po czym spojrzała na sekretarkę.

– Tak, jeszcze kawa i już idę do chorych.

Colleen podniosła stertę papierów.

– Wyniosę je do kontenera na zewnątrz. Przynieść ci kawę, jak będę wracać?

– Tak, proszę, ja w tym czasie porozmawiam z pacjentką. – I będzie się starała ignorować to, co tłoczy się jej pod czaszką: Ben jest bohaterem.

Trzeba się trzymać z dala od niego. Jest fajnym kompanem, ale to wszystko. Nie wolno jej się w nim zakochać. Nie przeżyłaby drugiej straty.

Fakt, czuje coś do niego, ale to pociąg czysto fizyczny, rezultat seksualnego postu. W Londynie jakoś nie przyszło jej do głowy, że powinna się z kimś spotykać. Nie była gotowa. Teraz też nie jest, jeśli nie brać pod uwagę nocnych tęsknot, od których ciało czasem aż się skręca. Czasem? Od kiedy jest na wyspie, dzieje się tak każdej nocy.

Od kiedy zna Bena.

Łzy napłynęły jej do oczu. Jak w ogóle może myśleć o miłości i Benie jednocześnie? To niestosowne. Riley też nie powinien być z Benem tak blisko. Jeszcze zacznie go traktować jak ojca. Już teraz jest wpatrzony w niego niczym w bohatera. Takie słowo nie istnieje. Bohater. Tfu!

W samą porę wpadł jej w ręce ten artykuł. To ostrzeżenie. Koniec wspólnego pływania. Riley będzie rozczarowany, ale trudno.

Spojrzała przez okno. Staruszek i mały chłopiec dreptali po trawniku. Szli ku stojącej pod drzewem parkowej ławce. Niby nic, a Rachel znów posmutniała. Dziadkowie Riley'a mieszkają na drugim końcu planety. Kiedy ich znów zobaczy? Jak, nie mając kontaktu z nimi, wykształci w sobie szacunek dla starszych ludzi?

Niby spotyka starszych ludzi, na przykład teściów Lissie, ale wciąż pozostaje kwestia męskiej ręki. Riley jest chłopcem, potrzebuje mężczyzny, choćby jako modelu do naśladowania. No dobrze, więc niech pływa z Benem, ale ona w tym czasie będzie w domu. Nie musi przecież siedzieć na brzegu i

ich pilnować. Riley będzie miał nawet więcej swobody i frajdy. Musi tylko powiedzieć Benowi otwarcie: żadnych „bohaterskich” popisów!

– Witam panie – powiedziała, przedzierając się przez rozchichotany i rozgadany tłumek pacjentek w poczekalni.

– Witamy panią doktor – odrzekły prawie chórem.

Dziś miała pobierać cytologię w ramach badań przesiewowych. Z kart dowiedziała się, że dla większości pacjentek będzie to pierwsze w życiu badanie ginekologiczne.

– Jeśli któraś chce, żeby towarzyszyła jej koleżanka, proszę bardzo – zaproponowała, pijąc kawę. – Co jeszcze chcecie wiedzieć?

Kobiety szybko ośmieliły się, gwarzyły i żartowały na temat tego, jak lekarka będzie je oglądać „z przodu i od dołu”. Po chwili zgłosiła się pierwsza odważna kobieta.

– Jestem gotowa, pani doktor. Wejdzie ze mną Dafne i będzie mnie trzymać za rękę. A potem ja ją.

Co za cudowne kobiety! – pomyślała. Tak, one symbolizują jej nową ojczyznę.

Wszystko szło gładko aż do siódmej pacjentki.

– Ty jesteś Liu, prawda? Nie chcesz mieć nikogo obok siebie?

– Nie, tak jest dobrze.

Rachel rozpoczęła badanie.

– Ile dzieci urodziłaś? – zapytała, natknąwszy się na pewną anomalię u pacjentki. Mały twardy guzek.

– Czwororo, a właściwie cztery. Same dziewczuchy. Straszne rozrabiary.

– Kiedy ostatnio miałaś robioną cytologię? – Liu należała bowiem do wyjątków wśród dzisiejszych pacjentek.

– Jak najmłodsza szła do szkoły, jakieś pięć lat temu. Mieszkaliśmy w

Auckland.

Trochę dawno.

– Miesiączkujesz regularnie?

– Bardzo nieregularnie. Coś jest nie tak? – Roześmiane dotychczas spojrzenie Liu ściemniało nagle.

– Ubierz się i usiądź.

To najgorsza część pracy. Nigdy nie wie, co powinna powiedzieć, zanim dostanie wyniki badania wymazu.

– Okej, rozumiem. Od jakiegoś czasu domyślałam się, że coś się dzieje. Proszę mówić, doktorko.

Zwróciła się do niej tak jak Ben!

Rachel rozumiała, że musi traktować tutejsze tak jak te w Londynie czy Nowym Jorku. One też starają się dbać o zdrowie. Nie wolno ich zwodzić, bo to je obraża.

– Wyczułam niewielki guzek. Nie wiem, co to jest, ale muszę zwrócić uwagę tym z laboratorium, żeby w pierwszej kolejności i szczególnie starannie zbadały pobraną od ciebie próbkę. Dobrze też byłoby zrobić USG, ale to wymaga wyjazdu do Auckland.

– Chce mi pani powiedzieć, że to rak?

– Nie można tego wykluczyć, musimy poczekać na wyniki. Guz jest mały, to dobrze. – Rachel dotknęła zimnej i drżącej dłoni Liu. – Przez najbliższy tydzień najlepiej w ogóle o tym nie myśl.

– Okej. Cieszę się, że trafiłam do pani i że weszłam sama. Nie chcę straszyć tych dziewczyn za drzwiami. Jeszcze zaczną się bać wszelkich badań.

Rachel wstała i przytuliła tę wspaniałą kobietę.

– Jeśli będziesz chciała o coś zapytać, zadzwoń lub wpadnij do mnie.

Tu czy do domu.

– Moje dziewczyny chciałyby poznać Riley'a. Słyszały o nim od synów Lissie. Podobno jest bardzo zabawny.

Bycie lekarzem tu to coś całkiem innego niż w Londynie, gdzie pacjenci znają cię wyłącznie od strony zawodowej. Po słowach Liu Rachel poczuła się dumną matką.

– Tak, chyba taki jest. Ma tu mnóstwo swobody, a to dla niego nowość – dodała.

– Panią to martwi? Niepotrzebnie. Ten Ben ma fantastyczne podejście do dzieci. Wszystkie dzieciaki na wyspie dzięki niemu świetnie pływają, dba o bezpieczeństwo na drogach i pod palmami. – Liu uśmiechała się mimo znużenia. — Podobno panią też uczy pływania. Chyba po raz pierwszy uczy kogoś dorosłego.

– Ale to dlatego, że wy tu wszyscy umiecie pływać najpóźniej w wieku dwóch lat. – Rachel usiłowała błazeńsko przewrócić oczami i zaraz zdała sobie sprawę, że musiało to wypaść dość głupio.

– Aha, więc pani nie wie, co się tu o was mówi.

Chyba nie chciała tego wiedzieć, a jednak zapytała:

– A co takiego się mówi?

Liu położyła rękę na klamce, jakby szykowała sobie drogę pośpiesznej ewakuacji.

– Że ładna z was para. No i – odetchnęła głęboko – że miło widzieć Bena tak szczęśliwym. Od dawna nie miał kobiety.

No tak, tego na pewno nie musiała się dowiedzieć.

– Przepraszam za spóźnienie. Turysta zgłosił kradzież portfela zostawionego przy skuterze na plaży. Musieliśmy go uspokajać, obiecywaliśmy dochodzenie, a wtedy

– Ben uśmiechnął się półgębkiem – jego żona przyniosła portfel. Zostawili go na łóżku w hotelu. Facet oczywiście długo przeproszał.

Rachel się roześmiała. Jaki ten Ben zrobił się ostatnio gadatliwy! Pożegnalne słowa Liu raz po raz przelatywały jej przez głowę. Ben dawno nie miał kobiety? Jej też jeszcze nie miał, więc chodzi pewnie o coś innego.

– Gdzie jest Riley? – zapytał, rozglądając się.

– Zostanie na noc z chłopcami Lissie, która zabiera ich do teściów na grilla. Riley bardzo chciał iść, pewnie tęskni za babcią.

Ben przyglądał się jej uważnie. Nie miała na sobie kostiumu kąpielowego.

– A dlaczego ty nie popływasz?

Bo postanowiła stworzyć między nimi coś w rodzaju dystansu.

– Muszę odpocząć, posiedzieć spokojnie na ganku i popatrzeć, jak płynie życie. Dziś były dwa porody. No i miałam pierwsze badania przesiewowe w przychodni.

– Jak to przebiegło?

– To cudowne, wdzięczne i roześmiane pacjentki. Obiecały, że będą zachęcać następne do badań.

Tak mówiły, ale mogą zmienić zdanie, gdy się okaże, że wynik Liu jest zły. Rachel dobrze wiedziała, że ludzie często wolą nie znać prawdy, niż stawić jej czoło, by ratować życie.

– Rachel? Coś się stało?

Zamrugnęła. Chętnie przytuliłby się do szerokiej męskiej piersi, ale wiedziała, że to byłby niewybaczalny błąd. Musi więc kontynuować rozmowę. Chętnie porozmawiałaby o badaniach i o Liu, ale obowiązuje ją tajemnica. Jego zresztą też. Nie pogadają sobie raczej o sprawach zawodowych.



– Nic, tak tylko myślę o jednej z pacjentek.

– Coś z nią nie tak?

– Znalazłam coś niepokojącego, pobrałam wymaz i teraz czekamy na wynik.

– Jeśli wyczułaś guza, to może już być coś gorszego niż zmiana łagodna.

A więc on się na tym zna?

– Też się tego obawiam.

– Jak oceniasz ryzyko, że to coś złośliwego?

– Niestety, dość wysoko. Wszystkie te kobiety miały robioną cytologię albo dawno temu, albo nigdy. Ale to czarny scenariusz, na martwmy się na zapas.

A potem dodała:

– Rozmawialiśmy także o tobie. Wygląda na to, że jesteś tu powszechnie uwielbiany.

– Naprawdę?

– Naprawdę.

– No, no! – Uśmiechnął się tak ciepło, że poczuła się, jakby siedziała w pobliżu ogniska.

– Napijesz się czegoś zimnego? – zapytała, wstając nagle. Bo jej ochłoda była wręcz niezbędna.

Ben też wstał i patrzył na nią.

– Może wybierzemy się gdzieś na drinka? Zjemy coś przy okazji.

– Zapraszasz mnie?

Boże, dlaczego nie ma tu Riley'a? Zabrakło dziecka, zabrakło wymówki.

– Tak.

– Okej.

– Czy mam rozumieć, że się zgadzasz?

– Tylko się przebioreę.

Spódnica i koszulka bez ramion są dobre do siedzenia na progu, ale nie na randkę. Randkę z Benem. Jak to on powiedział? „No, no”? No, no!

– Nie ma potrzeby. Tu jest Rarotonga, stolica luźnego stroju.

– Okej, zamknę tylko dom. – Zanim znajdzie sto argumentów, że popełnia błąd.

Ben pochylił się i dotknął ustami jej warg.

– Po co ten pośpiech? – wyszeptał.

Zanim zdążyła cokolwiek zrobić, przyciągnął ją do siebie, mocniej przycisnął wargi, a językiem wniknął w jej usta. Zachwiała się lekko i oddała mu pocałunek z siłą pożądania, jakie ten mężczyzna wzbudzał w niej od momentu, gdy ujrzała go na progu swego domu. Długo starała się mu opierać, ale teraz nie potrafiła udawać, że go nie pragnie. Jak on całuje! Ożywił każdy nerw jej ciała, każda komórka czuciowa błagała o więcej. Niech ten pocałunek trwa wiecznie!

Zaborczo przytuliła się do niego. Chciała jeszcze lepiej czuć dotyk tych wspaniale rozwiniętych mięśni. Otoczył ją ramionami, a ona wsunęła mu dłonie pod koszulkę. Każdy palec gładzący jego skórę wysyłał jej komunikat: „jeszcze, jeszcze, więcej, więcej”.

Nagle Ben oderwał od niej usta. Dlaczego? Niepewnie patrzyła mu w oczy. Przesunęła językiem po dolnej wardze, a on śledził ten ruch. Rozchyliła zęby, gotowa do nowego pocałunku. Potrząsnął głową i cofnął się o jeden schodek.

– Ruszajmy w miasto. Nie musimy się śpieszyć. Cała noc przed nami.

Cała noc? I więcej pocałunków? Czemu nie. Ale on ma rację, cała noc przed nimi. Nie ma co się śpieszyć.

Zajęli stolik na zewnątrz, chcieli cieszyć się wieczorną bryzą. Morze było zaledwie kilka metrów stąd. Ben poszedł zamówić dwa piwa.

Rachel promieniała. Raz po raz dotykała lekko obrzmiałych warg, rozpamiętując każdą sekundę pocałunku. Gdy Ben oderwał od niej usta, wyglądał na zaskoczonego. Propozycję natychmiastowego wyjścia do miasta wypowiedział głosem jeszcze bardziej szorstkim niż zazwyczaj. Rodząca się między nimi chemia najwyraźniej wpłynęła na niego w stopniu nie mniejszym niż na nią.

Patrzyła, jak nonszalancko pochyła się nad kontuarem i rozmawia z barmanem. Zupełnie jakby nic się przed chwilą nie stało. Gdy tak szedł ku niej z dwoma kuflami piwa, kobiety przy okolicznych stolikach milkły i obserwowały go z podziwem. Rachel poczuła się mile polechtana, to przecież ją wybrał.

A więc dziś wieczór się zabawi. Odkąd została wdową, z Rileyem rozstawała się tylko na czas pracy. Dziś nareszcie zacznie znowu żyć. W kraju, który uwiódł ją swym czarem i z mężczyzną, który zrobił to samo. Dziś zignoruje wszelkie sygnały alarmowe. Kilka drinków, dobre jedzenie, dużo pocałunków, a może i coś mniej przyzwoitego... Zawsze podejrzewała, że Ben to wspaniały kochanek. Jego pocałunek był powalający.

Usiadł obok, objął ją tak ciasno, że z trudem unosiła piwo do ust. Stolik zdawał się wirować i wibrować, a jej serce obijało się o żebra. Ten wieczór trzeba będzie zapamiętać.

- To twoja stała miejscówka? – zapytała.
- Jedna z kilku.
- Bywalec? – Uśmiechnęła się.
- Można mnie tak nazwać. – Odwzajemnił uśmiech.
- Przychodzisz tu z kolegami z pracy czy innymi znajomymi?

Tak mało o nim wie.

– Z jednymi i z drugimi.

– Uprawiasz jakiś sport? Rugby, piłkę nożną?

– Golf. – Palcem stukał o blat. – Na rugby jest tu za gorąco. Dobre dla małoślatów albo wariatów.

– A ty nie jesteś ani jednym, ani drugim.

– Dziękuję, też tak myślę. – Palcem rozmazywał mokre ślady, które na stole zostawiała zimna butelka. – Ciagle jesteś zadowolona, że wyprowadziłaś się z Londynu?

– Tak, podoba mi się tu.

– Chciałem się upewnić. Przyzwyczailem się, że jesteś w pobliżu. Gdybyś chciała wyjechać, daj mi wcześniej znać.

Co? Ma go ostrzec, gdy zechce się wyprowadzić?

– Wiesz, to dla mnie istotnie dziwne mieszkać w kraju, którego cała ludność zmieściłaby się w jednym składzie metra tam, skąd pochodzę. Nigdy przedtem też nie chodziłam do pracy z gołymi nogami i w topie bez ramią – czek.

Jego twarz przybrała niepewny wyraz. Położyła rękę na jego wciąż stukającym o blat stołu palcu.

– Ale dlaczego miałabym wyjeżdżać? – Drugą ręką wskazała ocean. – Tu jest jak we śnie. Nie potrzeba mi do życia betonu, murów, pociągów ani autobusów, szpitali wielkości małego miasteczka i supermarketów, gdzie nikt mnie nie zna.

– Dobra odpowiedź. – Ben zamknął jej dłoń w swojej, po czym burknął: – Ale jeszcze za mało czasu upłynęło.

Postanowiła nie reagować. Po co psuć tak piękny wieczór kłótnią o coś, o czym ma się mgliste wyobrażenie? Czas przyniesie odpowiedź na pytanie,

czy będzie chciała zakotwiczyć tu na dłużej.

Patrzyli na mewy czyhające na resztki jedzenia na talerzach. Przy sąsiednim moło członkowie klubu wioślarskiego po zacumowaniu czółen zdejmowali przemoczone ubrania. Rachel uśmiechnęła się do własnych myśli.

– Tak, to jest cudowne. Gdyby dawni znajomi mogli mnie teraz zobaczyć, pomyśleliby zapewne, że trafili na inny film, niż się wybierali.

Tanecznym krokiem podeszła kelnerka.

– Jeszcze raz to samo?

– Tak, prosimy. – Ben złożył zamówienie, nie pytając Rachel o zdanie.

A ona uśmiechnęła się szeroko. To taka miła odmiana

– nie być za wszystko odpowiedzialną, mieć przy sobie kogoś, kto podejmie decyzję.

– A ty jak się znalazłeś na Rarotondze?

Myślała, że nie doczeka się odpowiedzi. Ben najpierw długo dopijał pierwszą butelkę, potem błędził wzrokiem po horyzoncie. W końcu popatrzył na nią.

– Po śmierci Catriny byłem kompletnie zagubiony. Wszyscy wokół mówili mi, co powinienem zrobić. Ich sugestie były krańcowo rozbieżne: od wyjazdu w kosmos do poderwania każdej spódniczki, która się napatoczy. Otrzymałem więcej dobrych rad niż jest w tych słynnych poradnikach.

– Ktoś, kto nie doświadczył utraty, nigdy cię nie zrozumie. Ludzie mają dobre chęci, ale nie mają pojęcia, jak pomóc. Więc przedstawiają na chybił trafił różne pomysły. Dzięki temu czują się lepiej.

– Właśnie. Podejrzewam, że gdy ogłosiłem, iż wyjeżdżam na Wyspy Cooka i będę pracował jako policjant, wielu odetchnęło z ulgą. Rozwiązałem problem, jaki ze mną mieli.

– A więc nie zawsze byłeś gliną?

– Nie. – Cofnął rękę.

Okej, więc o to nie pytamy.

– Opowiedz mi o swojej rodzinie.

Ben wypił duży łyk. Zapadło milczenie. Czyżby jej pytania sięgały zbyt głęboko? Nie wybaczyłaby sobie, gdyby to miało zepsuć im wieczór.

– Mama ciężko pracuje – zaczął. – Jest kucharką i opiekunką w domu starców. Tata umarł kilka lat temu na raka. – Ben patrzył na wodę. – No i jeszcze rodzeństwo. Uparta siostrzyczka i beczelny braciszek, który skutecznie unika założenia domowego ogniska, pakując się w kolejne romanse. Oraz banda kuzynów, którzy wychowywali się razem z nami na farmie.

Mówił o tym wszystkim z miłością.

– Pewnie za nimi tęsknisz?

– Bardzo bym chciał, ale ponieważ mam dom na wyspie, jestem ukochanym bratem i kuzynem. Przyjeżdżają na każde wakacje.

– Odkąd tu jestem, nikogo u ciebie nie widziałam.

– Bo w tym roku zlecieli się wszyscy wcześniej, już w kwietniu, na ślub siostry. Wydali wtedy pewnie całe oszczędności.

– Wszyscy mieszkali u ciebie?

– Na szczęście nie. Niedaleko, w Mouri Beach, jest mnóstwo letnich domów do wynajęcia. Znalazłem dwa obok siebie i tam umieściłem całe plemię. Wyszło fajnie. Tania brała ślub na plaży, a przyjęcie weselne odbyło się w restauracji z widokiem na lagunę.

– Brzmi to wspaniale. – Rachel westchnęła. Rarotonga i ślub, te dwie rzeczy świetnie do siebie pasują. Ale o czym ona, u licha, myśli? Ledwie przywykła do życia kobiety samotnej. Ślub, o ile kiedykolwiek jeszcze się jej

przydarzy, to pieśń odległej przyszłości.

– Głodna? – zapytał Ben.

– Muszę przyznać, że owszem.

– To co zjemy? Tu można zamówić pizzę. Albo wejdźmy na górę, do restauracji, i zerknijmy na menu.

– Nie, tu jest znakomicie.

Nie chciała się znaleźć wewnątrz, wśród gości, którzy tłumnie napływali do lokalu od jakiegoś czasu. Musi tam być tłoczno, duszno i tak... anonimowo. Lepiej dzielić pizzę z Benem, niczego więcej w tej chwili nie pragnęła.

## ROZDZIAŁ SIÓDMY

O ósmej rozpoczął się występ zespołu złożonego z uczniów tutejszej szkoły średniej. Ben wstał i pociągnął Rachel za rękę.

– Chodź, potrząsiemy trochę biodrami.

– Nikt mnie nigdy tak uroczo nie prosił do tańca. – Na jej ustach pojawił się jeden z jej słodkich powabnych i seksownych uśmiechów.

Boże, dopomóż. Dlaczego przy tej kobiecie czuje się zawsze jak łamaga? Wystarczy jej uśmiech, a jemu się wydaje, że z nim coś jest nie tak. Może ma coś w kąciku ust? Uff, na szczęście nie. Chyba zaczął tracić zmysły. A jeszcze mają razem zatańczyć. Serce już mu wali jak młotem, chociaż nie oddalili się nawet od stolika.

Rachel chwyciła go za rękę i pociągnęła w stronę wolnego kawałka parkietu. Zwróciła się twarzą do niego i zaczęła kręcić tymi wspaniałymi biodrami w rytm muzyki, której wykonawcy mieli z pewnością więcej entuzjazmu niż talentu. Rozbawiony Ben pokręcił głową.

– Jak ci się to, u licha, udaje?

– Co takiego?

– Tańczyć w takt tej nieskładnej muzyki.

Serce mu biło, jakby chciało wyskoczyć z piersi.

– To nic trudnego. Poddaj się, wyluzuj i kręć. – Rachel wyszczerzyła zęby, pokazując, jak to się robi.

– Kobieto, ja umiem tańczyć.

– No to ruchy, ruchy!

Jasna cholera, czy ona go uwodzi? Czy po prostu należy do ludzi, którzy kochają taniec i żadna muzyka nie jest im w stanie przeszkodzić? Uśmiechnął



się, poruszył biodrami, oderwał stopy od podłogi i w końcu zdołał rozkołysać całe przeklęte ciało.

Rachel uśmiechała się długo i namiętnie. To ma być nagroda? Chętnie zdobyłby jeszcze jakąś. Jak ona się będzie tak dłużej uśmiechać, to on zejdzie z parkietu. Taniec dopiero się zaczął, a on już ma kłopot z ciałem, które reaguje na każdy jej ruch w sobie właściwy sposób. Najchętniej ściągnąłby ją z podestu, zawiózł do jej schludnego domku, wepchnął do środka, zaryglował drzwi i jeszcze furtkę, na wszelki wypadek. Wtedy poczułby się bezpiecznie. Nie groziłyby mu jej uśmiechy, lawendowy zapach skóry, ponowna utrata.

Chwycił ją za rękę i wykonali kilka skomplikowanych obrotów. Cholera, to niezłe. Znów poczuł, że żyje.

Wirowali, podskakiwali, pili zimne piwo, a w końcu padli sobie w ramiona.

– Jestem skonana – wymamrotała wtulona w jego pierś.

– Złapmy taksówkę i jedźmy do domu.

– Do domu?

Zesztywniała się i cofnęła głowę. Spojrzeli na siebie. Pochylił się i pocałował ją w usta.

– Tak, do domu.

W taksówce otulił ją ramionami i całował mocno, jakby miał ochotę ją dosłownie pożreć. Kierowca musiał go przywołać do rzeczywistości, mówiąc:

– Szefie, jesteśmy na miejscu.

Ben wcisnął mu do ręki garść banknotów. Pomógł Rachel wsiąść, objął i poprowadził w stronę swojego domu. Drzwi otworzył kopniakiem, nie pofatygował się też, by zapalić światło. Zresztą wdzierająca się przez okna księżycowa poświata wystarczająco rozjaśniała drogę do sypialni, gdzie

ułożył Rachel na łóżku.

Rachel zaś usiadła i zaczęła rozpinąć bluzkę. W jej oczach był uwodzicielski głód, który działał na Bena mocniej niż jakikolwiek dotyk czy pocałunek. A więc pragnie go, i to mocno. Poczł się dowartościowany. Rzucił na podłogę buty, dzinsy i koszulkę.

Rachel rozpięła stanik. Widok jej pięknych piersi zapierał dech. Objął je, pieszcząc stwardniałe i gotowe na wszystko sutki. Odpowiadała pomrukami ekstazy. Uniosła biodra, ściągnęła kusą spódniczkę i opadła na plecy.

Ben chłonał wzrokiem piękno jej zdumiewającego ciała. Dłonie szły w ślad za wzrokiem, pieszcząc przestrzeń od piersi poprzez okolice pępka aż po najintymniejsze miejsce.

– Jesteś niesamowicie piękna, Rachel – szeptał, smakując ustami i językiem jej gorącą skórę.

Dłoni dotknęła jego przyrodzenia. Poczłł nieokielznane pragnienie, jakiego jeszcze nie znał. Cholera, niech ona tego nie robi, bo wszystko skończy się, zanim się zaczęło.

– Rachel, litości, nie tak szybko. Daj mi szansę się wykazać.

– Już to robisz, Ben. – Zaśmiała się niskim podniecającym głosem. – Ja nie chcę czekać, dość się naczekałam. Weź mnie, Ben, teraz, szybko.

Damie się nie odmawia, prawda?

Przeciagnęła się, palcami stóp dotykała brzegu łóżka. Czła się wspaniale.

– Wyglądasz na zadowoloną. – Z sąsiedniej poduszki dobiegł głęboki pomruk.

– Po prostu nie ukrywam prawdy.

– Jeszcze ci mało?

– To zależy, co teraz zaproponujesz – droczyła się.

– Teraz będzie długo. I powoli.

Zębami podszczypywał jej dolną wargę. Hm, to brzmi obiecująco. Tylko czy ona dotrzyma kroku? Trochę brak jej wprawy. Na szczęście ciało samo wie, co robić.

Ben zaczął ssać jej sutek.

– To ma być powoli?

– Absolutnie. – Jego ręce ześliznęły się w dół, na jej biodra i między nogi.

Chciała prosić, by się nie ruszał, ale głos ją zawiódł. Uwielbiała czuć na sobie ciężar ciała Bena, ciężar wspaniałych mięśni. Właśnie zaczął wyprawiać istne czary za pomocą języka i nie mogła nic z tym zrobić.

– Teraz – wyszeptwała.

Zwolnił, ale nie przestał. Pozwolił, by jej napięcie opadło na chwilę, a potem zaczął je budować od początku. I jeszcze raz, i jeszcze raz, aż zaczęła go dosłownie błagać o zespolenie. Kiedy miał już absolutną pewność, że Rachel nie wytrzyma kolejnej pieszczoty, uniósł się i wszedł w jej rozedrgane ciało, dając nareszcie to, o co od dłuższego czasu prosiła. Szczytowała w sposób, o którym nie wiedziała, że w ogóle jest możliwy. Wszystko przestało się liczyć. Pozostał kalejdoskop doznań przenikających ciało, paralizujących umysł. Miała wrażenie, że dotarła do kresu istnienia.

Obudził ją dzwonek komórki. Zaczęła gorączkowo szukać torebki porzuconej w pośpiechu, gdy zaczęli się kochać z Benem. I nagle ujrzała przed sobą sprawcę całego zamieszania. Patrzył na nią i uśmiechał się.

– Dzień dobry, doktoro.

A więc znów jest doktorką? Tak szybko? Przecież ciągle leży w jego łóżku, z biodrem przy jego biodrze.

– Dzień dobry, Ben – odpowiedziała ostrożnie.

Podniósł rękę, w której trzymał torebkę.

– Tego szukasz?

– Chyba tak. Która godzina – zapytała.

– Szósta. Powiedziałbym „sex o'clock”.

Spojrzeli na siebie. A więc „doktorka” nie zwiastuje żadnej zmiany w relacjach, Bogu dzięki.

– Komuś jest mało? – Odsunęła prześcieradło i omiotła wzrokiem jego ciało. – Wygląda na to, że tobie.

Uśmiechnął się przeciągle. Wzrok przyćmiewało mu pożądanie. Serce Rachel zaczęło nierówno bić. Ten człowiek ją zniszczył. Jest skończona. Już nigdy żaden mężczyzna nie będzie w stanie jej zaspokoić. Żaden nie dorówna Benowi.

Przypomniała sobie, co ją obudziło. Znalazła telefon i sprawdziła, kto dzwonił.

– Lissie, to znaczy pewnie Riley chciał ze mną rozmawiać. Musi być już późno. Przepraszam, oddzwonię do niego.

– Oczywiście. Pozdrów go ode mnie. – Ben wyszczerzył zęby.

– Jasne. – Dała mu poduszką po głowie.

– Mamo, chcę wracać do domu – mówił Riley. – Muszę cię zobaczyć.

– Dobrze, kochanie, zaraz po ciebie jadę. Dobrze się bawiłeś?

– Tak, ale już tęsknię za domem. – Głos chłopca był bliski płaczu.

– Czekając na mnie, wymyśl, co dziś robimy. Jest sobota, ja nie idę do pracy, a ty nie idziesz do Lanette.

– Chcę pływać z Benem – odrzekł bez namysłu.

– Poprosisz go, gdy będziesz w domu. Mogę jeszcze porozmawiać z Lissie?

– Rachel, przepraszam, że tak wcześnie, ale Riley niepokoił się o ciebie, a wiem, że wcześnie wstajesz – usprawiedliwiała się przyjaciółka.

Rachel zerknęła na zegarek. Szósta dwadzieścia. Nie zdawała sobie sprawy, że jest tak wcześnie.

– Boże – rzekła Lissie – spotkałaś się z Benem, prawda? Widziano was późnym wieczorem. To dlatego zasnęłaś. Przyjedź, wszystko mi opowiesz.

Rachel postanowiła nie komentować.

– Zaraz będę. – Starła się być stanowcza, ale – sądząc po uśmiešku Bena – chyba jej nie wyszło.

Lissie wybuchnęła śmiechem.

– Nie mów do mnie tym tonem, dziewczyno. Znam cię lepiej, niż przypuszczasz. Jeśli potrzebujesz więcej czasu to powiedz. Zajmę czymś Riley, jest już spokojniejszy.

– Nie trzeba. – Rachel zakończyła rozmowę, mimo, że Lissie wciąż się śmiała. Spojrzała na Bena. – Przyjaciółki bywają utrapieniem.

– Nie wiem, nie mam przyjaciółki. – Ben gwałtownie wstał widząc, że ona znów sięga po poduszkę. – Skoro wyszło szydło z worka i Lissie wie, to może pojedziemy razem po Riley, potem popływamy i zjemy jakieś śniadanie w mieście?

– A nie przeszkadza ci, że ona wie?

– Ja się nie wstydzę nocy spędzonej z kobietą taką ty, Rachel. A może dla ciebie to jest problem?

– Ani trochę – odparła, całując go w palec. – Gdybym miała się tego wstydzić, nigdy bym się z tobą nie umówiła.

– To ja pozbieram rzeczy do pływania. Za dziesięć minut będę czekał przed domem.

Zaczęła się ubierać, starając się – nie zawsze zręcznie – trafić

kończynami we właściwe rękawy i nogawki. Dobrze, że Ben wyszedł. Gdyby jeszcze chwilę popatrzyła na to nagie posągowe ciało, pewnie bardzo spóźniliby się po Rileya. A Lissie by triumfowała!

Lissie, jej mąż i synowie uznali pomysł popływania przed śniadaniem za udany i postanowili się przyłączyć.

– Wrzucę cię do wody i sam przyplyniesz do brzegu – zapowiedział Ben zachwyconemu Rileyowi.

Rachel obserwowała postępy, jakie syn poczynił w pływaniu. Nie mogła też nie zwrócić uwagi na to, jak uważnie Ben śledzi każdy ruch chłopca.

– No więc – odezwała się z za jej pleców Lissie – nie będziesz mi chyba wmawiać, że nie spędziłaś nocy w bliskiej zażyłości z Benem. Masz to wypisane na twarzy. – Roześmiała się. – Wyglądasz na szczęśliwą. Nie widziałam cię takiej od lat.

– Lissie, posłuchaj...

Ale Lissie nie chciała słuchać. Trajkotała cały czas, śmiejąc się.

– Jestem twoją najlepszą przyjaciółką, mnie nie oszukasz. Widzę ten blask w twoich oczach. Po prostu przyznaj, że dobrze się bawiłaś.

Rachel pokręciła głową, ale ostatecznie jej śmiech dołączył do zwariowanego chichotu koleżanki.

– Masz rację. Cholernie dobrze się bawiłam.

Z płytkiej wody patrzyli na nie Ben i Pita. Kiwali głowami porozumiewawczo: wiadomo, kobiety. Kto je zrozumie?

Lissie miała rację, Rachel była bardzo szczęśliwa. Nie wiedziała, co czeka ją i Bena. Nie chciała wiedzieć. Na razie chciała jak najlepiej wykorzystać ich wspólny czas, a potem się zobaczy.

– Mamo, chcę chodzić do szkoły. – Riley odsunął talerz, odłożył nóż i

widelec. Patrzył na nią z groźną miną, ściągając brwi. Serce Rachel zadrżało. Tak samo patrzył na nią Jamie, gdy chciał poważnie porozmawiać.

– Nie masz jeszcze pięciu lat.

– To co? Harry idzie w przyszłym tygodniu.

– On dziś kończy pięć lat, właśnie idziesz na jego urodziny. A tobie brakuje trzech miesięcy.

Minął tydzień od pływania z Benem i rodziną Lissie oraz od nocy spędzonej przez Rileyę poza domem. Rachel miała wrażenie, że chłopiec bardzo się w tym czasie zmienił.

– Do szkoły nie przyjmują przed skończeniem pięciu lat.

– Dlaczego?

– Tak już jest.

– Dlaczego? – nalegał Riley.

– Bo tak mówi dyrektorka, a w szkole to ona decyduje. Jedz.

– Nie, chcę iść do szkoły.

– Chłopcy, którzy chodzą do szkoły, zawsze grzecznie jedzą kolację.

– Mnie to nie smakuje. – Usta malca wykrzywiły się w podkówkę.

– Ryba z frytkami. Zawsze bardzo to lubiłeś.

– A dziś nie lubię.

– No to czas do łóżka, młody człowieku. – Rachel wstała, odsuwając krzesło.

Riley patrzył na nią wyzywająco.

– Nie pójdę do łóżka, jest za wcześnie.

Od kiedy jest taki wojowniczy? I dlaczego ją to tak wytrąca z równowagi?

– Kolacja albo łóżko. Wybór należy do ciebie.

Zaczęła sprzątać kuchnię. Nie miała pojęcia, jak zareagować, jeśli Riley

wstanie od stołu i pójdzie się bawić. Ciągnąć go za rękę z powrotem do stołu czy do łóżka?

– Puk, puk, mogę wejść? – Przez otwarte drzwi dobiegł głos Bena.

– Taaak! – wrzasnął Riley. – Ben, możemy pograć w piłkę, zanim się ściemni?

– Riley, wracaj. Natychmiast!

Rachel rzuciła ścierkę do naczyń na stół i odwróciła się twarzą do Bena.

– Jakież problemy? – zapytał cicho.

– Tak, z dyscypliną, a ja nie mam siły walczyć.

Ben rozejrzał się po kuchni. Nie mógł przeoczyć talerza z ledwie zaczęтым posiłkiem.

– Riley, czy to twoja ryba i frytki?

Chłopiec przystanął, wziął się pod boki.

– Tak, ale nie chcę jeść. Chodźmy, zaraz będzie ciemno.

– Przepraszam cię, dzieciaku, ale ja dziś nie mogę grać.

– Ben odsunął krzesło i usiadł na nim ciężko.

– Dlaczego?

– Bo mój główny zawodnik nie zjadł kolacji.

– Nie jestem głodny.

– Tu nie chodzi o to, co ty czujesz, ale o to, co ci jest potrzebne. – Ben oparł podbródek na splecionych dłoniach.

Riley zmarszczył brwi, starając się domyślić, co jest grane.

– Co masz na myśli? – zapytał w końcu.

– Dzieciaku, kto nie je, ten nie rośnie. – Ben pokiwał głową. – Wyliczyłem, że odkąd się znamy, urosłeś dwa cale. Możesz być wysokim facetem, ale pod warunkiem, że będziesz zjadać wszystko, co podaje ci mama.



Riley patrzył podejrzliwie, jakby wyczuwał przekręt, ale w końcu siadł do stołu, z przysuniętego przez Bena talerza odkroił kawałek ryby i włożył go do ust.

– Dziękuję – szepnęła Benowi do ucha Rachel.

– Nie ma za co. A dlaczego ty jesteś taka zmęczona?

– Nie mam pojęcia. Może z powodu upału. Miałam dużo pacjentek, no i nie wyspałam się w czasie weekendu.

Nie wspominając już o conocnych odwiedzinach Bena w jej łóżku.

– Ciekawe, dlaczego.

– Z ironią ci nie do twarzy – odparowała. – Kawy?

– Owszem, napiję się po treningu z gwiazdą mojej drużyny.

Na te słowa Riley znów odsunął talerz i zaczął nalegać na wyjście, „zanim słońce pójdzie spać”.

– Przynajmniej trochę zjadł. – Rachel zabrała talerz, a Ben delikatnie pocałował ją w szyję.

– Co z nocą? Trening seksualny czy raczej Przytulanka i głęboki sen?

Kto by pomyślał, taki troskliwy?

– Obawiam się, że moja zachłanność zwycięży – odparła.

– A więc i seks, i sen, tak? – Zaśmiał się i wyszedł na dwór.

Rachel oparła się o stół, walcząc z chęcią kłapnięcia na krzesło. Jeżeli usiadzie, to już nie wstanie, a tyle jeszcze ma rzeczy do zrobienia: zmywanie, lunch na jutro dla Rileya. Effie wprawdzie by pozmywała, ale Rachel nie lubiła zostawiać po sobie bałaganu.

Z zewnątrz dobiegał perlisty śmiech i tubalne pokrzykiwanie. Ben. Tak wiele dla niej znaczy. To niedobrze, bo ona ciągle nie ma planów na przyszłość. Raczej nie zostanie na wyspach do końca życia. To tylko przystanek, miejsce, gdzie można ozdrowieć, nabrać sił i wiary, że życie

niesie też radość i zabawę.

I Ben się do tego przyczynia. Dał jej masę czułości i wspaniałego seksu. Odbudował jej wiarę w siebie. Pomógł poczuć się w nowym miejscu jak u siebie.

Wyspiarze okazali jej hojność, serdeczność i entuzjazm. To wspaniali ludzie, ale ich troska bywa krępująca. Lissie ostrzegała ją, że tubylcy mają we krwi rozpieszczanie gości. Racja, ona jest tu gościem. Może być ulubioną maskotką, ale nigdy nie zostanie uznana za tutejszą.

Podobnie jak Ben. To, że wspaniale wypełnia misję policjanta, że poświęca czas miejscowym chłopcom, trenując ich w rugby, że uczestniczy w życiu towarzyskim, niczego nie zmienia. Na zawsze pozostanie Kiwi.

Leżąca na stole komórka zasygnalizowała nadejście esemesa. W tej samej chwili do kuchni wpadł Ben.

– Muszę iść, coś się stało. O, widzę, że do ciebie też się odezwali, pewnie zostaniesz wezwana do szpitala.

– A co się stało?

Ale Ben już wybiegł. Przeczytała komunikat: „Rozbitkowie na rafie. Możliwe utonięcia i liczne obrażenia. Wszyscy lekarze proszeni na oddział ratownictwa”. Rachel zdrętwiała. Boże, jeśli chodzi o rafę odleglejszą od laguny, to ofiary nie mają wielkich szans na przeżycie. Fala przybojowa jest wysoka, a woda wokół rafy pełna wirów.

– Mamo, Ben włączył policyjnego koguta na samochodzie, jak wyjeżdżał.

– Zadzwoń po Molly, żeby z tobą posiedziała w nocy. Okej? – Błąd. Nie powinnam pytać o zgodę, tylko oznajmić, że ją wezwano. – Był wypadek, muszę jechać do szpitala.

– Okej, mamo, ja wiem, że doktorzy to nie są zwykli ludzie.

– Dzięki. – Skąd mu się to wzięło?

– Ben mi mówił, że ty w szpitalu robisz różne ważne rzeczy.

Ben tak mówił? No, no!

Zadzwoiła Lissie.

– Już wiesz?

– Tak, właśnie ruszam. Wstąpić po ciebie?

– Tak, i weź Rileya, może tu zanocować. Lanette przyjdzie.

– Dobrze, tylko spakuję mu rzeczy na jutro.

– Nie musisz się śpieszyć. Trochę potrwa, zanim pozdejmują tych idiotów z rafy. – W głosie Lissie brzmiała złość.

– Dlaczego mówisz „idiotów”? – Rachel była zszokowana.

– Trzech turystów, gości weselnych, popiło sobie ostro i postanowili opłynąć wyspę łodzią, którą zabrali bez wiedzy właściciela. Pewnie podpłynęli za blisko rafy i załatwiła ich fala przyboju.

Rachel dostała gęziej skórki. Przecież Ben ma tam być. Czy to bezpieczne? Czy nie przyjdzie mu do głowy szarżować, narażać się? Czy nie zechce grać bohatera? Już za takiego tu uchodzi, może będzie chciał za wszelką cenę potwierdzić tę opinię? Żołądek podskoczył jej do gardła.

– Ben pojechał dziesięć minut temu.

– Pita też, wziął łódź – powiedziała Lissie, jeszcze bardziej wściekła. Czyżby niepokój o męża zawsze podsycił złość?

– Pita będzie ostrożny, Lis. Pamiętaj, że ma ciebie i chłopców.

– Wiem, ale jednak wariuję. Ci idioci nikim się nie przejmowali. Pomyśl, jak czują się teraz ich bliscy? A młoda para? Wesele, tyle przygotowań, a głupi druzbowie zepsuli im najpiękniejszy dzień w życiu. – Lissie gwałtownie dawała upust swym emocjom.

Rachel słuchała, starając się ignorować narastającą panikę. Myśl, że

Ben jest gdzieś tam, koło tej niebezpiecznej rafy.

Proszę cię, choć tym razem bądź ostrożny. Straciłam już jednego mężczyznę, bo był bohaterem. Nie mogę stracić drugiego.

TTLR

## ROZDZIAŁ ÓSMY

– Ten był nieprzytomny, jak ściągał się jego tyłek z rafy – mówił Ben do grupy lekarzy i pielęgniarek stłoczonych w salce oddziału ratowniczego.

Rachel starała się ukryć ulgę, jaką odczuła na widok ociekającego wodą, ale całego i zdrowego Bena. Niech sobie będzie bohaterem, ważne, że jest bezpieczny.

– Odzyskał przytomność piętnaście minut temu – ciągnął Ben – ale jego stan nie jest dobry. Lewa ręka i noga chyba są złamane, poza tym ma głębokie rany na udach i w górnych partiach tułowia.

Rachel zauważyła na ciele ofiary mnóstwo opatrunków. Pewnie obficie krwawił. Słuchała, jak Ben szczegółowo i fachowo opisuje stan młodzieńca. Przypomniła sobie, jak ze zrozumieniem przyjmował to, co mu opowiadała o swoich pierwszych klinicznych badaniach na wyspie.

– Rachel, Lissie, ten pacjent jest wasz – zawołał szef oddziału, przekrzykując gwar.

Poszły za sanitariuszami, którzy transportowali pacjenta na reanimację. To, że odzyskał przytomność, nie znaczy, że znów jej nie straci. Obrażenia głowy są zawsze trudne, zwłaszcza gdy brakuje sprzętu, by je zdiagnozować.

Z tyłu słyszała głos Bena opisującego stan następnego pacjenta.

– Reanimację, podjęliśmy na łodzi. Z płuc wypłynęło chyba pół oceanu. Niestety, musieliśmy holować go wodą, bo podpłynięcie łodzią bliżej rafy stanowiło ryzyko.

– Sam po niego popłynąłeś? – zapytał sanitariusz.

– Nie, było nas czterech.

– Ale z tobą na czele, oczywiście?

Rachel przystanąła i obejrzała się przez ramię. Ciekawiło ją, jak Ben przyjmie ten wyraz hołdu. Wyglądał na zakłopotanego, nie puszył się, jak zapewne zrobiłby na jego miejscu Jamie.

– Na łódce było trzech mężczyzn, prawda? – zapytała, podchodząc do niego.

– Trzeciego ciągle szukają – odparł Ben ponuro. – Jest bardzo ciemno i właśnie zaczęło padać.

– Na szczęście to nie Atlantyckie, woda jest ciepła.

– Tak, to jedyna pociecha. – Dotknął jej dłoni. – Zobaczymy się później, teraz wracam do wesołej drużyny poszukiwaczy.

– Naprawdę musisz? Nie wystarczą ci, którzy tam są?

– Taką mam pracę, Rachel. A poza tym nie potrafię przejść obojętnie, gdy ktoś potrzebuje pomocy.

– Spójrz na siebie. Ociekasz wodą. Nie możesz się przebrać w coś suchego?

– Zaginiony moknie od dłuższego czasu. Im prędzej tam będę, tym lepiej. A poza tym – dodał, komicznie unosząc brwi – mówiłem ci, że pada.

Chciała go zatrzymać, przytulić, poprosić, by nie robił głupstw, ale to by nic nie dało.

– A więc wejdiesz do wody, nie bacząc na własne bezpieczeństwo – rzekła, nie mogąc się powstrzymać – ani na ludzi, którym na tobie zależy. Jak cholerny bohater.

– Odczep się, doktorko.

– Jasne. – Wzruszyła ramionami. – I tak sobie nic z tego nie robisz.

Ben nachylił się i wyszeptał ze złością:

– Nie masz prawa tak do mnie mówić.

Czyli nie wolno jej przejmować się nim? Aha, kolejne bolesne

ostrzeżenie. Łzy napłynęły jej do oczu, szybko przymknęła powieki. Tą prymitywną odzywką Ben być może ją ocalił. Nie jest jeszcze za późno. Można cofnąć to wszystko, co zaszło między nimi. To był seks bez zobowiązań. Jeszcze przed chwilą, patrząc na niego, wierzyła, że jest dla niej kimś więcej niż przyjacielem. A teraz...

Obróciła się na pięcie i poszła za pacjentem.

Podszedł do niej sanitariusz, który zasugerował, że to Ben uratował rozbitka.

– My tu wszyscy podziwiamy Bena. Jest zawsze gotów nieść pomoc i ratunek. Nie zawaha się, choćby miał skoczyć w ogień.

– To właśnie mam na myśli. Uparty i bezmyślny.

– Daj spokój, Rachel – odezwał się Ben spod drzwi.

Czy naprawdę powiedziała to na głos? Źle postąpiła. Nie mówi się takich rzeczy przy współpracownikach. Niepewnie odwróciła się do Bena, napotkała jego spojrzenie. Dziwne, ale nie było w nim złości, tylko współczucie. Czyżby zrozumiał, o co jej chodzi? A zresztą, jakie to ma znaczenie? Nie zamierza się o niego martwić. Pozwoliła sobie na zbyt wiele i oto płaci cenę. Tak czy owak, złamał jej serce.

Pół godziny później słuchała, jak Lissie komentuje prześwietlenie, które wykonano pacjentowi.

– Operacja jest konieczna, trzeba złożyć to udo.

– No i pacjent jest w szoku – dodała Rachel.

– Najpierw muszę porozmawiać z jego przyjaciółmi. Robią aferę, chcą, żeby odesłać ich kumpli do Nowej Zelandii, że niby tu nie ma dobrego szpitala. Nieważne, że tu są świetni lekarze. – Wyszczrzyła zęby. – Gdyby nie ich głupota, żaden szpital nie byłby im potrzebny.

– Czy tak tu się zazwyczaj robi? Odsyła chorych turystów do miejsca

zamieszkania? – zapytała Rachel.

– Dość często, o ile obrażenia nie są bardzo poważne. Ale specjalne loty są zamawiane tylko w przypadkach decydujących o życiu lub śmierci. A ci mogą polecieć jutro, normalnym lotem, więc do tego czasu zrobimy, co w naszej mocy. Oczywiście po rozmowie z tymi idiotami, którzy robią taki raban w poczekalni.

– Chcesz, żebym ci asystowała przy zabiegu?

– Oczywiście.

Rachel wydała polecenia pielęgniarkom i rozpoczęła szorowanie rąk przed operacją. Zero wiadomości od Bena o trzecim poszkodowanym. Niedobrze. Młodzieńcy postąpili głupio, ale życie to zbyt wysoka cena za głupotę.

Rozpaczliwie pragnęła, by coś powstrzymało Bena przed spotkaniem z żywiołem. Niech przynajmniej będzie asekurowany przez kolegów za pomocą liny.

W sali operacyjnej Rachel po raz pierwszy miała okazję zaobserwować, jak pracuje Lissie.

– Dobra jesteś!

– Mam bogatą praktykę. Naczelnym chirurg Wysp Cooka ma do czynienia ze znacznie szerszym wachlarzem przypadków niż w Londynie. Ale aż tak dużo kości udowych nie składałam.

– Użyjesz pręta śródszpikowego?

– Nie, nie mam tu nic takiego. Trzeba usztywnić zewnątrz.

– Co, stara dobra szkoła „blaszka i śrubka”? Ja praktycznie nie mam żadnego doświadczenia chirurgicznego, chyba że w ginekologii – stwierdziła Rachel, przyglądając się ranie na drugim udzie chłopaka.

– Nic straconego. Tu się trochę pokręcisz i nabierzesz biegłości w



operacjach każdego rodzaju. W szczególności w składaniu połamanych czaszek i likwidowaniu ucisku na mózg.

– Naprawdę? Obrażenia głowy nie zdarzają się chyba często?

– Spadające kokosy zabijają tu trzy lub cztery osoby rocznie. Ci, co przeżyją uderzenie, trafiają do nas. Na drugim miejscu są wypadki na skuterach.

– Dlaczego prawo nie wymaga jazdy w kasku? – Rachel się skrzywiła.

– Obowiązujące przepisy mówią, że do czterdziestu kilometrów na godzinę można jeździć bez kasku. Ale nawet przy takiej prędkości upadek może być niebezpieczny – odparła Lissie. Po chwili dodała: – Zdaje mi się, że Ben nad tym pracuje. Chce, żeby kaski były obowiązkowe, dla kierowcy i pasażera.

A więc znowu Ben. Widać on także ma rozsądne przemyślenia w kwestii bezpieczeństwa ludzi. Może nie jest tak do końca w gorącej wodzie kąpany?

Po niecałej godzinie operacja była zakończona. Jutro pacjent poleci do domu, do szpitala pełnego specjalistów i urządzeń. A tu po prostu dobrze się nim zajęto.

– Miał szczęście, że trafił na ciebie, Lis – zauważyła Rachel, ziewając. Spychane do podświadomości zmęczenie dawało o sobie znać.

– Weźmy jakąś kawę. – Lissie też ziewała. – Nie wyspałam się w nocy, bo dzieciaki do późna gadały o pójściu Harry'ego do szkoły. A ty? Dlaczego taka zmęczona?

– Nie z powodu Riley'a – odparła Rachel, starając się bezskutecznie powstrzymać kolejne ziewnięcie.

– Podejrzewam raczej pewnego policjanta.

– Ktoś tu mówił o kawie? – Rachel uśmiechnęła się, po czym

przypomniała sobie o czymś. – Riley zrobił mi wieczorem awanturę. Chce koniecznie iść do szkoły, jak Harry.

– Mógłby. Jest bardzo bystry, a do wieku niewiele mu brakuje. Lepiej, żeby miał w klasie kogoś, kogo zna.

Rachel zaczęła myśleć, że to może dobry pomysł.

– Tylko czy szkoła zgodzi się go przyjąć?

– Czemu nie? Porozmawiaj z dyrektorką.

– Dobrze.

Rachel była z siebie zadowolona. Kiedyś przed podjęciem decyzji dzieliła włos na czworo, a teraz wszystko poszło szybko. Czyżby stawała się wyspiarką?

Piły kawę, doglądały pacjenta i przez szklane drzwi patrzyły na ulewny deszcz.

– Powinnyśmy chyba do kogoś zadzwonić? – odezwała się Rachel. – Nie jesteś ciekawa, co słyhać u Pity? – uzupełniła, gdyż do Bena nie ośmieliłaby się telefonować.

– Pita nie znosi, jak mu się przeszkadza w trakcie akcji. Musimy to jakoś przeczekać. Może scrabble?

– Scrabble? Myślisz, spryciaro, że jako osoba, która ledwie patrzy na oczy, jestem łatwym przeciwnikiem?

Podeszła do nich pielęgniarka.

– Możecie już iść. Znaleźli trzeciego na plaży. Dopłynął sam do brzegu.

– Nie ma obrażeń?

– Chyba nie. Ben go zbadał i orzekł, że może iść o własnych siłach.

– Ale Ben nie jest lekarzem.

Skąd się bierze jego wiedza medyczna? Trzeba go o to przy najbliższej okazji zapytać. No i wytłumaczyć swoją dzisiejszą napaść na niego, bo

inaczej będzie to tkwić między nimi jak zadra.

Ben zatrzymał samochód i zgasił światła. Machinalnie spojrzął na dom Rachel, jak zawsze, gdy wracał z pracy, z pubu czy innego miejsca. I co, Ben, mój chłopcze? Jesteś ciekaw, jak by to było, wracać codziennie do ciepłego domu, do Rachel?

Właściwie nie wiadomo, co jest między nimi. Seks to jedno, a poważne plany na przyszłość to coś innego. Kiedy będzie mu wolno uwierzyć, że w życiu czeka go coś więcej niż los samotnego policjanta na odległej wysepce pośrodku Pacyfiku? Co się stanie, gdy Rachel skończy się jej kontrakt? Czy da radę pojechać za nią Bóg wie gdzie, jeśli nie będzie chciała przedłużyć umowy? Nie, to byłoby szaleństwo. Zbyt wiele go kosztowało, by poczuć się tu jak u siebie. Nie zostawi tego, nie dla Rachel, nie dla doktorki.

A może jednak Rachel zdecyduje się tu zostać? Iskierka nadziei zgasła tak szybko, jak się pojawiła.

Ben wysiadł z auta i nie zważając na deszcz, stał wpatrzony w ciemne chmury. Był wściekły na siebie. Skąd przyszła mu do głowy tak naiwna myśl? Przecież Rachel to typowa mieszkanka wielkiego miasta, tam się urodziła i wychowała. Jest przyzwyczajona mieć wszystko na wyciągnięcie ręki. I nawet jeśli przywyknie do wyspiarskich warunków, to przecież musi w końcu pomyśleć, że Riley traci tu życiową szansę.

Patrząc na dom Rachel, w duchu robił jej wyrzuty. To twoja wina, ja nie chciałem już nigdy nic do nikogo poczuć. Nigdy, rozumiesz? Ale niestety do ciebie coś czuję, zależy mi na tobie. A ty mnie dziś tak podsumowałaś i ochrzaniłaś przy wszystkich. Dostyc. To się musi skończyć.

Minął płot i zaczął iść w kierunku jej drzwi. Za szybą paliło się światło. Od dziś Rachel będzie znów tylko doktorką. Nie Rachel, nie gorącą kobietą z sąsiedztwa o oczach, dla których nawet mnich porzuciłby śluby czystości. No

tak, ale nie istnieje granica między doktorką a Rachel. One są związane, występują – można powiedzieć – wyłącznie w pakiecie.

Czuł, jak jego pracowicie składane z kawałków życie znów zaczyna się rozsypywać. O ile już się nie rozsypało. Boże, zlituj się. Podniósł rękę, by zapukać, ale się powstrzymał. Jest dobrze po północy, a Rachel była bardzo zmęczona już przy kolacji. Teraz pewnie śpi. To dlaczego zostawiła zapalone światło? Może na niego czeka? Może chce wyjaśnić, dlaczego na niego nakrzyczała?

Do diabła z wątpliwościami! Nacisnął klamkę i wszedł. Rozejrzał się po niewielkim holu. Zajrzał do saloniku i tam znalazł Rachel. Spała zwinięta w kłębek pod cienkim kocem.

Rzuciła mu w twarz słowo „bohater”, jakby to była najgorsza obelga. Dlaczego? Ze strachu o niego? Niby powinien się cieszyć, że jej na nim zależy, ale czuł wściekłość. Przecież zdążyła go poznać i powinna wiedzieć, jak jest rozważny, jak starannie analizuje każdą sytuację. Cholera, ta żmijka potrafi człowiekowi wbić nóż w plecy. I jeszcze nim zakręcić!

Kobiety zawsze wymagają od swych mężczyzn wyrzeczeń. Nawet Catrina. Nie mógł spędzać świąt ze swą rodziną, bo ona chciała odwiedzać przyjaciół. I faktycznie, przestał jeździć do krewnych, nawet po śmierci Catriny ani razu nie wybrał się do nich na gwiazdkę. Nie chciał rezygnować z tradycji rodzinnej dla kobiety, ale i tak do tego doszło.

A teraz Rachel robi aferę o udział w akcji ratowania debilnych turystów. Powinna wiedzieć, że dla niego naczelną wartością jest niesienie pomocy ludziom w niebezpieczeństwie. Z tego nie zrezygnuje, tak jak nie zrezygnuje z oddychania.

Patrzył na nią. Znał to ciało w najintymniejszych szczegółach. Uwielbiał jej uśmiech, łobuzerskie iskierki ukazujące się od czasu do czasu w

oczach. Gniew minął, poczuł się raczej bezradny. Nie można przekreślić tego, co jest między nimi. Zbliżył się, nachylił i lekko dotknął rozgrzanego policzka. Emocje, które temu towarzyszyły, były tak silne, że sam poczuł się zdziwiony. Potrzebuje jej, zależy mu na niej tak bardzo, że aż trudno to znieść.

Dzisiejsza awantura mogłaby stanowić pretekst do zerwania. Przecież nie miała prawa żądać od niego, by nie brał udziału w akcji. Pewnie chciała, by rozbitek został uratowany, tyle że przez kogoś innego.

Nie, ona tylko nie chciała, żebyś działał głupio, żebyś odstawiał bohatera. To z powodu śmierci męża. Przecież opowiadała, jak ruszył do ataku, nie czekając, aż ktoś będzie go osłaniał. Pamięta tę rozpacz w jej oczach.

Rachel poruszyła się, przewróciła na plecy. Koc zsunął się na podłogę. Na szczęście się nie obudziła. Mogłaby dostać ataku serca na widok wpatrującego się w nią faceta. Powinna spać wygodnie, we własnym łóżku, a nie na tej nierównej kanapie. Bez namysłu ją podniósł. Była ciepła, miękka, pachniała lawendą. Myśli o zerwaniu odeszły hen, hen.

Mruczała coś przez sen, a on ścisnął ją mocno. Nie pozwoli jej odejść. Muszą wspólnie stawić czoło złym duchom, wyjaśnić sobie pewne sprawy.

– Ben? – wyszeptała, a jej ciało zeszywniało.

– Ciiii, tak, to ja. Zaniosę cię do łóżka.

– Ben. – Otworzyła zaspane oczy i uśmiechnęła się. – Hej, czekałam na ciebie.

– Muszę iść – powiedział, ale jedno spojrzenie wystarczyło, by porzucić ten pomysł. Ujął jej twarz w dłonie i palcem wodził po wargach. – Powinniśmy porozmawiać, a nie iść do łóżka.

Jego ciało mówiło coś wręcz przeciwnego. Rachel wysunęła język i

koniuszkiem dotknęła jego kciuka. Ten prosty gest wywołał istny pożar. Pożądanie ogarnęło całe ciało, od palców rąk i nóg, przez pierś, w której jak oszalałe waliło serce, aż do pulsującego członka.

– Porozmawiamy jutro – wyszeptała.

– Och, Rachel, co ty ze mną wyprawiasz...

– Ja nic nie zrobiłam. Na razie.

Nie miał siły zignorować tej obietnicy. Podłożył ręce pod jej pośladki. Objęła go kolanami. Jęknął z pożądania i ustami zaczął ugniatać jej miękkie wargi. Umysł zamilkł ostatecznie, nic nie mogło go powstrzymać.

Rachel przylgnęła do niego, dłonią błędziła w poszukiwaniu zamka błyskawicznego. Rozsunęła go i wzięła w rękę naprężony członek. Bena przeszył dreszcz, z trudem trzymał się na nogach. Bolesnie powoli, a jednocześnie zadziwiająco szybko przeniósł ją na niską szafkę w rogu pokoju i posadził na brzegu.

Odrzuciła głowę do tyłu i patrzyła na niego uwodzicielsko. Pieścił ją. Kiedy zdążyła ściągnąć majtki? Podniosła głowę i spojrzała na niego. W jej oczach kryła się figlarna radość, a jednocześnie taka ufność i pragnienie, że jego zdrowy rozsądek znikł bezpowrotnie.

– Pośpiesz się – szeptała.

– Nie mam wyjścia.

Natarł mocniej, aż usłyszał pełen radości jęk. Potem następny, gwałtowniejszy. Skurcz. I znów prośba o szybsze tempo. Cały czas utrzymywała kontakt wzrokowy. To było cudowne – patrzeć, jak dochodzi. Ścisnął jej biodra, kołysząc lekko i czekając na ostudzenie emocji. Ale nawet potem nie wypuszczał jej. Nie mógł. Była już częścią niego, takiego zespolenia nie zniszczy kilka niebacznie wypowiedzianych słów. Pocałowała go w szyję.

– Jesteś wspaniałym kochankiem – oświadczyła.

– To nie ja. To coś poza mną – odrzekł, z trudem kryjąc zadowolenie.

Uwolniła się z uścisku, wstała, wyciągnęła dłoń i zaprowadziła go do sypialni, gdzie wszystko zaczęło się od początku. Znacznie później Ben spojrział na zegar. Było wpół do trzeciej. Szczęśliwi czasu nie liczą. Przeciągnął się. W każdym z mięśni czuł słodki ból. Zamknął oczy, poddając się wyczerpaniu i silnemu poczuciu, że oto znalazł coś, co może jest nieuchwytnie i trudne do określenia, ale na pewno dobre i słuszne.

– Nie śpisz?

– No właśnie, pójdę już do domu. Riley nie powinien mnie tu zastać.

– Racja, nie chciałabym, żeby pomyślał coś złego.

– Co to znaczy „złego”? – zapytał, odsuwając się.

– Nie powinien myśleć, że zająłeś miejsce jego ojca.

Ben poczuł ulgę i rozczarowanie jednocześnie. Czyżby uważała, że nie nadaje się na ojca? Przecież świetnie mu idzie z dziećmi. Każdy wyspiarz to potwierdzi.

Zaraz, zaraz, a skąd się bierze uczucie ulgi? Czy z pewności, że ona nie będzie od niego oczekiwać niczego ponad to, co już jest do tej pory? I wtedy nagle oznajmiła:

– Miałam ci powiedzieć, że już tak nie mogę dłużej.

To był grom z jasnego nieba. W ciszy, która nagle zapadła, usłyszał, że Rachel przetyka ślinę.

– Chciałam to zrobić, ale ty jesteś jak narkotyk, uzależniasz – dodała.

A więc oboje podobnie oceniają swój związek. Poczuł ukłucie, jakby go coś użądliło. Przecież miał dokładnie ten sam zamiar.

– Rozumiem cię. – Usiadł. Cisza dźwięczała w uszach.

– Może masz rację. Jesteśmy sąsiadami i przyjaciółmi. I niech tak

zostanie.

Rachel chwyciła go za rękę.

– Jak to sobie wyobrażasz? Nasze domy dzieli zaledwie pięćdziesiąt metrów i co, mamy się rozstać na zawołanie?

Uniósł jej rękę do ust, ucałował dłoń, a potem każdy palec po kolei.

– Musimy odnaleźć w sobie tę siłę, która obojgu pomogła przetrwać największe tragedie. I iść dalej.

Odsunął jej rękę i wstał. Włożył džinsy, koszulkę przewiesił przez ramię.

– Wychodzę.



## ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

– Dzięki ci, Boże, że stworzyłeś niedziele. – Rachel opadła na kanapę w salonie Lissie. Przez otwarte przeszklone drzwi kobiety obserwowały chłopców, uganiających się po nasiąkniętym wodą trawniku.

– Lepiej już znosisz źle przespane noce? – zapytała Lissie ze znaczącym uśmiechem.

– Nie mówię takich.

Przynajmniej od ponad tygodnia. Od nocy akcji ratunkowej, którą zwieńczyło mocno erotyczne zerwanie z Benem.

Nie zastała go w domu, gdy tamtego ranka poszła odnieść mu bokserki. I tak przez resztę tygodnia – ciągle nieobecny. Czasami słyszała, jak późnym wieczorem zajeżdża przed dom, ale nawet najwcześniejszym rankiem nie było po nim śladu.

Lissie twierdziła, że policja wszczęła śledztwo w sprawie kradzieży łodzi przez trzech niefortunnych turystów.

– O ile wiem – mówiła – Ben nieźle zmył głowę temu, który wyszedł bez szwanku. Uświadomił mu, że pozbawili rodzinę środków utrzymania i pytał, jak mają zamiar zadośćuczynić tym biednym ludziom.

– Już widzę Bena w tej sytuacji. – Rachel się uśmiechnęła. – Osiągnął jakiś skutek?

– Tak, młodzi ludzie kupili rodzinie nową łódź.

– No to punkt dla Bena.

Gdzie on teraz jest? Tydzień bez jego spojrzeń i dotyków to dla niej stanowczo za długo. Zgodził się z nią, że powinni wycofać się z relacji, która prowadzi w niewiadomym kierunku. Teraz żałowała, że w stosownym mo-

mencie nie ugryzła się w język, ale może dobrze się stało. Przerwa w kontaktach pozwoli jej spojrzeć na wszystko z właściwej perspektywy. Dlaczego więc jest taka smutna i przygnębiona? Może przez to, że od tygodnia ulewa goni ulewę, a pozostają po nich kałuże i bajora. Riley je uwielbia, cały czas chodzi ubłocony. Chmury wiszą nad wyspą, jakby nigdy nie miały zamiaru się rozwiać. Cóż, podobno tutaj w maju jest to normą.

– Rachel, zejźdź na ziemię. Widzę, że znów bujasz w obłokach.

– Znów? Co masz na myśli? – zapytała Rachel, sięgając po szklanke soku z papai.

– Myślę, że się zakochałaś. Od pierwszej nocy z Benem jesteś wciąż pogrążona w marzeniach.

– Zakochałam? Nie, to wykluczone. Wiesz, że nie mogłabym.

Poczuła ucisk w gardle, była przerażona. Sama czasem tak myślała, ale w ustach Lissie te słowa zyskały wymiar druzgocącej prawdy. A prawda zawsze rodzi komplikacje.

– Dlaczego? Wiem, że tęsknisz za Jamiem, ale może już czas na trochę zabawy i radości w życiu, nie sądzisz?

– Ty mówisz o miłości, a to nie jest zabawa. – Sączyła sok ostrożnie, by się nie zakrztusić.

– Czego ty się boisz?

Łatwe pytania, prosta odpowiedź.

– Wszystkiego – odrzekła Rachel.

– To nieprawda. – Przyjaciółka się uśmiechnęła. – Już masz za sobą etap pod tytułem „seks z nowym partnerem” i sądząc po tym, jak błyszcząły ci oczy, poszło nie najgorzej.

– Nie skarzę się. – Rachel smakowała gęsty sok.

– Więc nie martw się o resztę. Też jakoś pójdzie. Bierz rzeczy, jakimi

są. Ciesz się każdą chwilą, wszystkim, co robisz. Pływaniem, jedzeniem w mieście, tańcem. – Lis – się urwała i uśmiechnęła się szeroko. – Poznaliście się lepiej, jesteście razem nie tylko w chwilach gorących uniesień.

– Ciekawe, skąd ty to wiesz?

– Masz to wypisane na twarzy.

– Piękne dzięki. – Rachel obracała w dłoni szklanę.

– No to wiedz jeszcze, że nie widziałam go od tygodnia. Chyba postanowił być niedostępny. Kilka dni temu zostawił mi w drzwiach karteczkę, że nie może chwilowo grać z Rileyem w piłkę, bo jest bardzo zajęty. Czym? Sam mi mówił, że na tej wyspie nic się nie dzieje.

Lissie odstawiła swoją szklanę i wstała.

– Coś mi się zdaje, że będziemy potrzebowały czegoś mocniejszego. – Podeszła do barku. – Zrobię margarity.

Rachel spojrzała na Lissie.

– Narobisz mi kłopotów. Jak może wiesz, jest tu mój syn, muszę być trzeźwa i odpowiedzialna. – Ostatnie słowa przeszły w chichot.

– Okej, możesz też rzucić okiem na moich. – Lissie wlewała odmierzone porcje tequili do shakera. – A tak poważnie: Pita kręci się po obejściu i wszystko jest pod kontrolą. – Odkręciła butelkę z likierem pomarańczowym. – Nie piłam tego od wyjazdu z Londynu. Co ja w tym czasie robiłam z życiem?

– Za bardzo się zajmowałam moim – odparła Rachel, odstawiając szklanę po soku. Postanowiła się poddać. Gdy Lis coś sobie postanowi, trudno ją od tego odwieść. A przecież nie będzie siedzieć i gapić się, jak przyjaciółka samotnie sączy ich ulubiony koktajl.

– Jeżeli ci się znudzi medycyna, masz fach w ręku, Lissie. – Rachel z przyjemnością kilkakrotnie zbliżyła do ust krawędź szklanki obłożoną grubą

solą. – A zresztą możesz połączyć jedno z drugim. To jest doskonały lek na wszelkie schorzenia.

– Dzięki za komplement. W nagrodę zostajesz na kolacji. Będziemy grillować kurczaki!

– Tak jest, psze pani! – Rachel wyciągnęła się na kanapie. Dobrze jest tak się zrelaksować.

– Wszystko już przygotowałaś na pierwszy dzień Riley'a w szkole? – zapytała Lissie.

– Oczywiście. On jest taki przejęty, nie może doczekać się jutra. Kupiliśmy nowe szorty i koszulki, Effie je pięknie wyprasowała. Leżą wyciągnięte na łóżku w gościnnym obok kredki, ołówka, długopisu, zeszytu i linijki. Riley co godzina podchodzi i wszystko sprawdza.

Normalnie by mnie to denerwowało, ale jest w tym taki słodki...

– Cześć, chyba się nie spóźniłem? – zapytał Ben. Rachel wyprostowała się i zamrugła, gapiąc się na nieoczekiwaną zjawę.

– Spóźnił? Na co? – zwróciła się do Lissie.

– Na grilla oczywiście. Nie mówiłam ci? No tak, zapomniałam.

– Dzięki, kumpela.

Przynajmniej popatrz sobie na Bena, a może nawet porozmawiają o minionym tygodniu?

– Pójdę poszukać Pity, pewnie jest w warsztacie – oznajmił Ben i wyszedł, nie czekając na odpowiedź.

– Musiałaś mieć dobry powód, żeby mnie nie ostrzec – stwierdziła Rachel ze wzrokiem utkwionym w podłogę.

– Po prostu nie chciałam, żebyś wyszła, dowiedziawszy się, że Ben też ma być.

– Dlaczego miałabym wyjść? Ja go nie unikam. A on? Wiedział, że

będę?

– Chyba Pita mu powiedział – odrzekła Lissie. – Zresztą nieważne. Grunt, że jesteśmy w komplecie i razem spędzimy wspaniały wieczór.

– Mam nadzieję, że wiesz, co robisz. – Rachel była bardzo zakłopotana odkryciem, jak bardzo mimo wszystko chciała zobaczyć Bena.

– Spoko. Chcesz jeszcze jedną margaritę?

Nie powinna. Alkohol może rozluźnić język i znowu powie Benowi coś niestosownego. A niech tam!

– Tak, poproszę.

Ben puchł z dumy, widząc, jak Riley w błocie i wśród kałuż ugania się za piłką. To chyba najbardziej hałaśliwy dzieciak na świecie. Gdzie się podziało to ciche smutne dziecko, które kiedyś wzięło go za tatusia?

Tatus. Jak by się czuł, gdyby ktoś mówił do niego „tato”? Gdyby ścisnął go na dobranoc? Wybiegał na powitanie, trajkotał, opowiadając o wydarzeniach dnia? Tak jak Riley.

– Widziałeś to, Ben? – krzyczał chłopiec do niego za każdym razem, gdy udało mu się, ślizgając w błocie, złapać rzucaną przez Pitę piłkę.

– Tak jest, dzieciaku. Tak trzymać!

Pita wyprowadził z warsztatu gokarta.

– Nie stój tak! – krzyknął do Bena. – Chyba mi pomożesz?

– Jasne, nie mogę się doczekać. Chcę zobaczyć, jak dzieciaki śmigają w tym dookoła domu. – Ben uśmiechnął się i natychmiast wyobraził sobie rozanieloną minę, jaka na widok wózka zagości na twarzy Riley'a.

– Mówiłeś o tym Rachel? – zapytał Pita.

Auć.

– Jeszcze nie.

– No to nie zwlekaj. Ona cię zabije, jeśli Riley będzie bez jej

pozwolenia jeździł na czymś, co rozwija prędkość piętnastu kilometrów na godzinę.

– A jeśli się nie zgodzi? W Londynie nie miała z tym do czynienia. Nie rozumie, co kręci chłopców.

No tak, podobne sprawy leżą w gestii ojca, a Jamiego tu nie ma i nie będzie. Ben poczuł ucisk w piersi. Będzie musiał wytłumaczyć Rachel, że chłopiec to chłopiec i że jego dorastaniu towarzyszą kontuzje i siniaki.

– Rachel nie jest czułościwką i z pewnością nie chce zrobić z Riley'a fajtlapy. Przekonasz ją, że to dobry pomysł. Jak moi chłopcy wsiedą na gokarta, i tak nie będzie siły, która powstrzyma Riley'a przed rundką wokół domu.

– Riley? Na gokarcie? Gdzie? – Rachel otworzyła oczy tak szeroko, jakby ktoś ją właśnie ostrzegał przed nadciągającym sztormem. – Przecież tu nie ma miejsca.

Po kolacji usiedli na tarasie. Panowie pili piwo, panie kawę. Ben chciał odłożyć trudną rozmowę na później, ale Harry i Jason ponaglali. Rachel poczekała, aż chłopcy pójda oglądać telewizję. Ben pociągnął łyk z butelki, po czym odstawił ją na stół.

– Pobocze szosy jest bardzo szerokie, poza tym mogą jeździć bocznymi drogami.

– Bocznymi drogami? Chyba żartujesz? – prychnęła. — Jak szybko toto jeździ?

– Zablokowaliśmy drugi bieg, więc pewnie jakieś piętnaście kilometrów na godzinę, może trochę więcej.

Jej oczy ogromniały. Ben zadrżał.

– Tobie się to podoba? – zwróciła się do Lissie.

– W sumie tak, bez mojej zgody projekt by nie powstał.

– To taka chłopięca specyfika, prawda? – Rachel przygryzała paznokcie. – Będę się bała jak cholera, kiedy Riley dosiądzie tego potwora. Ale – wzruszyła ramionami

– okej, niech będzie. Nie będę się bawić w żandarma, gdy jego koledzy śmigają po okolicy i mówią, jakie to wspaniałe.

Ben odetchnął z ulgą.

– Zasady są takie: wszyscy jeżdżą w kaskach i wyłącznie pod nadzorem rodziców. Inaczej Pita nie użycza go – karta.

– Sam stworzyłeś ten regulamin? – zapytała Rachel.

W podtekście wyraźnie brzmiało „przecież nie masz dzieci”. Nie można jednak dać się wyprowadzić z równowagi.

– Tak, jestem policjantem i sprawy bezpieczeństwa są dla mnie priorytetem. – A poza tym cholernie się troszczę o wszystkie dzieci, a zwłaszcza o twojego szczeniaka. Strzegę go nie gorzej, niż robiłby to jego ojciec.

No to mamy problem. Mamuśka znów załazła mu za skórę, choć myślał, że to niemożliwe. Teraz sam czuł się jak dzieciak. Oboje ugodzili go w samo serce. Pierwszy był Riley, gdy na początku znajomości zapytał, czy on to tata. Ben poczuł się wówczas, jakby przejechał po nim walec. A potem wzrok Rachel wciąż przygważdżał go tysiącem pragnień, pożądaniem, odpowiedzialnością, miłością.

Miłość. Znowu to słowo. Ciągłe wyskakuje nieproszone. A on zaczyna w nie wierzyć, czuć je, smakować. Powinien uciekać. Drogą, ścieżką, plażą, obojętnie, byle jak najdalej od niej i jej synka.

– Czas do domu. – Rachel ziewnęła. – Dzieci umilkły, to podejrzane.

– Odwiozę was. Ty przecież piłaś – dodał Ben, uprzedzając jej protesty.

Nie była przyzwyczajona do alkoholu i dla niej dwa drinki znaczyły o

wiele więcej niż dla niego dwa piwa.

Usadowił śpiącego Rileya z tyłu auta, zapiął pasy. Wierzchem dłoni przesunął po policzku dziecka. Ogarnęła go taka czułość, że wstrzymał oddech. Wyprostował się i napotkał spojrzenie, które prześladowało go w snach.

– Gotowa?

– Jeszcze jak. – Rachel wśliznęła się na miejsce obok kierowcy. – Jesteś dla niego taki dobry.

– To nic trudnego, on jest wspaniały.

– Czy ten deszcz kiedyś ustanie? – zapytała, patrząc przez szybę. – Już wariuję od ciągłego siedzenia w zamkniętych pomieszczeniach.

– Nie musisz. To tylko woda. W dodatku ciepła.

To pierwszy sygnał, że może nie jest tu szczęśliwa. Jaka decyzję podejmie po zakończeniu kontraktu? Jak on przeżyje jej wyjazd? Już tydzień bez niej przyniósł mu tyle bólu...

Włączył silnik i przyśpieszył. Im prędzej, tym lepiej. Już chciałby być w domu, odnaleźć spokój, posiedzieć w milczeniu na ganku.

Nie ujechali daleko. Za drugim zakrętem Ben musiał gwałtownie przyhamować, inaczej wjechałby w tłum ludzi otaczających autokar, który woził turystów na imprezy.

– Czy to wypadek? – pytała Rachel, usiłując wzrokiem przeniknąć ciemność.

– Jeżeli tak, to wydarzył się przed chwilą. Nie ma ani jednego policjanta, który ostrzegałby ludzi przed wychodzeniem na jezdnię. Przepraszam na chwilę, mam nadzieję, że Riley to jakoś zniesie. – Ben wysiadł, by się rozejrzeć.

– Jest skonany, na pewno się nie obudzi. – Rachel przedzierała się za



Benem przez tłum gapiów.

Ben zaklął cicho. Na poboczu ujrzał bezwładnie rozrzucone ciała dwojga młodych ludzi.

– Proszę się cofnąć – krzyknął do tłumy – i zrobić miejsce dla lekarza. Czy ktoś już wezwał policję? Albo dzwonił do szpitala?

Usłyszał kilka odpowiedzi twierdzących i poczuł ulgę. Przynajmniej ktoś prawidłowo posłużył się swym zakutym łbem.

– Proszę zejść z szosy! – ciągnął. – Tu trwa ruch w obie strony. W dodatku pada i jest ciemno. Chyba nikt nie chce dołączyć do tych dwojga? – Ukląkł przy ofiarach. – Co się stało? Ktoś to widział?

– Oni szli skrajem drogi, a my nadjechaliśmy – zaczęła opowiadać jakaś kobieta. – Pies wyskoczył przed autobus i kierowca gwałtownie skręcił. Coś potwornie walnęło, pewnie uderzył w tych dwoje.

– Dziękuję. Proszę poczekać, aż policja spisze pani zeznania, dobrze?

Ben wyjął komórkę i wybrał numer alarmowy.

– Hej, Tetevano, wiesz, że był wypadek w okolicy Fruit of the Island? Dobra. Czekam.

Rachel przycupnęła koło niego. Też miała w ręce telefon.

– Muszę zawiadomić Lissie.

– Szpital już wie, karetka w drodze. Ale to mogą być tylko sanitariusze, którzy zapewnią transport do szpitala. Do tego czasu ty jesteś ich lekarzem.

W świetle latarni dostrzegł w jej oczach zdumienie.

– A ty mi nie pomożesz? – zapytała.

– Oczywiście – westchnął. – Chcesz, żebym się zajął chłopakiem?

– Bardzo proszę, bierz z torby wszystko, co ci jest potrzebne. Daj tylko znać, jeśli będziesz podawał jakieś leki.

Rachel relacjonowała sytuację Lissie, jednocześnie oglądając raną

dziewczynę, która robiła wrażenie kompletnie ogłuszonej. Młodzieniec badany przez Bena jęczał i usiłował przewrócić się na bok.

– Spokojnie, chłopie. Miałeś wypadek. Nie ruszaj się, dopóki nie sprawdzimy wszystkiego, okej?

– Gdzie jest Ellie? Była ze mną. Co się stało?

– Jest za tobą. Jak się nazywasz? – Ben delikatnie skłonił chłopaka do położenia się. Sprawdzał częstotliwość oddechu i puls.

– Boli mnie głowa.

Pewnie uderzył nią o asfalt. Ben obmacał mu czaszkę.

– Jak się nazywasz? – powtórzył.

– Thomas. Au!

Ben przyjrzał się plamie na jego szczęce.

– Chłopie, masz tu wielkiego siniaka.

Na szczęście młody mówił dość wyraźnie, szczęka nie jest więc złamana. Metr dalej Rachel przemawiała do dziewczyny:

– Ellie, zostaw twarz w spokoju, dobrze? Zaraz dam ci coś przeciwbólowego, potem zabiorą cię do szpitala. Tam obejrzą cię dokładniej i usunę żwir, który ci się wbił w policzek. Ale najpierw muszę cię zbadać. Czy coś cię jeszcze boli?

Dziewczyna wyła z bólu i wciąż rozdrapywała policzek. Ben chwycił jej dłoń i ścisnął tak, by nie mogła już robić sobie krzywdy. Dziewczyna zaczęła kopać energicznie, chcąc się wyswobodzić. Na szczęście z pomocą śpieszył już wezwany Tetevano. Nachylił się i przytrzymał nogi dziewczyny w kostkach. Dzięki temu Rachel zdołała zrobić zastrzyk z morfiny, po czym starannie obejrzała i obmacała kończyny, brzuch i głowę rannej.

– Ma rozcięte czoło, trzeba będzie szyć. Uszkodzone kolano, chyba tylko skręcenie. Dużo otarć naskórka, ale można powiedzieć, że młoda dama

wyszła z tego obronną ręką. Nie potrafię wskazać miejsca, gdzie autobus ją uderzył.

– Może Thomas ją odepchnął, gdy autobus go potrącił.

Ben wrócił do swojego pacjenta i razem z Rachel wykonali rutynowe oględziny. Ben dziwił się łatwości, z jaką mu to przychodziło, jakby nigdy nie porzucił medycyny. A może jednak zostanie lekarzem? Nie, nie ma mowy. Co innego działać ręką w rękę z kimś tak kompetentnym jak Rachel, a co innego samotnie stawiać czoło nagłym przypadkom.

Nadjechała karetka. Większość gapiów już się rozeszła, zamiłowanie do makabry przegrało z ulewnym deszczem.

– Pojedziesz z nimi, Rachel, możesz być potrzebna. Ja wezmę Riley'a do domu i położę do łóżka.

– A dlaczego ty nie pojedziesz z karetką? Oboje wiemy, że masz wystarczające kwalifikacje. – Mrugnęła powiekami, by strącić z rzęs krople deszczu.

– To twój zawód, twoja praca, nie moja.

Odwrócił się, by nie widzieć pytań czających się w jej oczach, Współczucie to ostatni rzecz, jakiej teraz potrzebuje.

## ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Riley nie mógł się doczekać pójścia do szkoły. W poniedziałek zbudził się już o szóstej trzydziści, a o siódmej był ubrany i gotów do wyjścia.

– Usiądź przy stole i zjedz płatki. – Rachel starała się być stanowcza, czemu przeczyła jej rozbawiona mina.

– Już trochę zjadłem. – Riley pokazał talerz, niebezpiecznie go przechylając.

– Uważaj, bo jeśli nabrudzisz, będziesz musiał sprzątać. Poza tym nie chcesz chyba iść do szkoły w zachlapanej koszulce?

– Dlaczego nie mogę wyjść już teraz?

– Bo jest za wcześnie, szkoła jeszcze będzie zamknięta. *Którą mamy godzinę?* – zapytała Rachel, wskazując zegar ścienny.

Riley zmarszczył nos.

– Siedem – jeden – dwa – z namaszczeniem odczytał zielone elektroniczne cyferki.

– Słusznie. Musisz poczekać, aż pokaże osiem – zero – – zero. Wtedy wyruszymy i pojedziemy po chłopców Lissie. Okej?

– Nie mogę czekać tak długo, mam. To cała wieczność. – Riley pchnął talerz, który jadąc po stole, wydawał głośny zgrzyt. Rachel poczuła, że jest na skraju wyczerpania nerwowego.

Z powodu wieczornego wypadku była niewyspana. Ze szpitala wróciła w środku nocy. Ben czekał na progu, ale na jej widok natychmiast poszedł do siebie, nie powiedziawszy nic poza krótkim „dobranoc”. Czyżby się bał, że zostanie zapytany o swoje medyczne doświadczenie? Nieważne, o wpół do pierwszej w nocy każdy ma prawo nie mieć ochoty na rozmowę.

– Co mi dałaś na lunch? – zapytał Riley.

Rachel od razu poprawił się nastrój.

– Niespodzianka. Coś, co bardzo lubisz.

– Lubiałaś chodzić do szkoły, mamó?

– Tak. – Rachel naląła sobie kawy i posmarowała grzanek miodem. Tak naprawdę nie przepadała za szkołą. – Poznasz tam przyjaciół, znajdziesz mnóstwo książek do przeczytania, nauczyciele nauczą cię masy różnych ciekawych rzeczy.

Litości, szkoła wcale nie jest fajnym miejscem dla dzieciaków, ona wie o tym bardzo dobrze.

– Będą mnie pytać, kim chcę zostać, jak dorosnę?

– Jeszcze nie teraz. A ty już wiesz, kim będziesz?

– Policjantem, jak Ben.

Kęs grzanki utkwiał Rachel w przełyku. Długo kasłała, by się go pozbyć. Po łyku kawy zapytała:

– To już nie chcesz być pilotem?

– Wolę policjantem, jak tata i Ben.

Boże, spraw, by ten etap minął równie szybko. Jeśli pójdzie w ślady Jamiego i Bena, ona do końca życia nie zazna spokoju.

– Okej.

– I będę miał psa policyjnego. Widziałem wczoraj w telewizji.

Ósma nareszcie wybiła. Riley dreptał za nią, gdy szukała kluczy, torebki, spakowanego lunchu i kart pacjentów.

– Spokojnie, Riley, lekcja nie zacznie się bez ciebie.

– A może nauczyciel nie wie, że mam przyjść?

– Wszyscy wiedzą, przysięgam. Spójrz, nawet słońce się z tego cieszy.

– Wskazała ręką niebo. Bogu dzięki, w domu jest tyle rzeczy do wysuszenia.

– Gdzie ten nasz uczeń? – zawołała Effie.

– Wejdz, Effie, wcześniej przyszedłeś. – Rachel pomachała gosposi. – Chcesz kawy?

– Dzięki, Rachel. Riley, to dla ciebie, na pierwszy dzień w szkole. – Effie wręczyła chłopcu paczkę zawiniętą w białe płótno, przyozdobioną kwiatem hibiskusa.

Rileyowi zaśmiały się oczy.

– Dzięki, Effie, mogę rozpakować?

– Nawet powinieneś, to może ci się dziś przydać.

Nim skończyła mówić, Riley trzymał w ręku piękny pojemnik na jedzenie, granatowy ze srebrnymi gwiazdkami na pokrywce.

– Ojej, Effie, to jest super! Nie miałem lunchboksu! Mamo, popatrz!

– No to już masz. – Effie uściskała go serdecznie. – Mogę włożyć do środka twoje kanapki i ciasteczka?

– Kochana jesteś, rozpieszczasz go, – Rachel się uśmiechnęła, podając Effie kawę.

– Zasługuje na to.

– Mamo, możemy już wyjść?

– Tak. Effie, nie przejmuj się dziś robotą. I tak nie można nic zrobić, dopóki pranie nie wyschnie.

Effie skinęła głową.

– Jedź już, ja się tu tylko rozejrzę.

– Mnie też rozpieszczasz – zakończyła Rachel, dobrze wiedząc, że pod jej nieobecność Effie będzie godzinami polerować i tak błyszczące powierzchnie, czyścić czystą podłogę i tak dalej.

Rachel spojrzała jak każdego ranka w stronę domu Bena. Ani śladu faceta, nie ma także jego policyjnej furgonetki. Znów wyjechał? Zmierzając

w kierunku głównej szosy, pomyślała, że powinna w końcu mieć własne auto. Dobrze jest korzystać z uprzejmości, ale nie można jej nadużywać.

Ogarnął ją smutek. Nie mogła uwierzyć, że tak bardzo brakuje jej Bena. Nie tylko w nocy, w łóżku, ale też wspólnej kawy na tarasie, subtelnych żartów z jej antytalentu do pływania, mimo tylu lekcji. Lissie ma rację. Definitywnie nadszedł czas rozstania z Jamiem.

– Mamo, przejechałaś wjazd! – wrzasnął Riley tak głośno, że omal nie puściła kierownicy.

Zdjęła nogę z gazu i poszukała wzrokiem miejsca, gdzie mogłaby zawrócić. Głupia mamuśka, nawet w pierwszy szkolny dzień syna ma głowę zaprzątniętą Benem i nie jest w stanie skupić się na niczym innym. Nawet na tym, by nie przejechać wjazdu na posesję Lissie.

Gdy manewrowała, chłopcy wybiegli na szosę.

– Z drogi, głuptasy – krzyknęła, opuszczając szybę. – Co zrobicie, gdy coś nadjedzie?

– Zejdziemy – odparł Jason rezolutnie. – Dlaczego pojechałaś dalej, w stronę domu Kepu?

– Mama śni i marzy, cały czas – krzyknął przejęty Riley, zachichotał i wysiadł z samochodu, by dołączyć do kolegów.

Cóż, nawet taki dzieciuch potrafi przejrzeć ją na wylot.

– Gdzie wasza mama, chłopcy?

– W kuchni. Wścieka się, że narobiliśmy bałaganu.

Rachel weszła do środka. Lissie gorączkowo kręciła się po pomieszczeniu.

– Wyglądasz jak kwoka w obłędzie. Pomóc ci?

– Sprzątnij to wszystko. – Lissie z hukiem zamknęła szufladę i zmiotła ze stołu okruchy. – Ale to by trochę trwało.

– Uśmiechnęła się. – Gotowa na wielki dzień Riley’a?

– Nie, tak, być może – odparła, a oczy zaszyły jej łzami.

– Wszystko będzie dobrze. – Lissie uścisnęła przyjaciółkę.

– Wiem, szkoda tylko, że jego tata tego nie widzi. Byłby bardzo dumny.

Jamie wiązał z synem wielkie plany na przyszłość. Wszystkie jego dzieci miały koniecznie skończyć studia.

– Chcesz, żebym z tobą poszła? – Lissie objęła ją ramieniem. – Mogę zadzwonić do szpitala i powiedzieć, że trochę się spóźnię.

– Dzięki, dam sobie radę. – Rachel wyswobodziła się z objęć przyjaciółki. – Idę już, inaczej Riley wybuchnie z podniecenia.

– Moi też nie lepsi. Traktują Riley’a jak brata, więc przeżywają jego pójście do szkoły tak jak niedawno pierwszy dzień Harry’ego.

Przyjaciółki szły razem do bramy.

– Dzięki, że mnie wspierasz i przekonujesz do słusznych rzeczy. Tyle już dla mnie zrobiłaś. Czas, żebym stanęła na własnych nogach.

– Ależ stoisz! To wielki i trudny dzień dla każdego rodzica! Kiedy moich dwóch urwisów szło do szkoły, ryczałam jak bóbr. To ich pierwszy krok ku samodzielności, a my się tego boimy. Ale trzeba się przemóc.

– Jasne, przecież nie rodzimy dzieci, żeby je całe życie trzymać przy piersi – odparła Rachel, choć akurat w tej chwili czuła, że nie byłoby to takie złe rozwiązanie. Ale cóż, Riley jest wysoki na swój wiek i ma głowę na karku. Gdy dorośnie, będzie przypominał ojca. I tak ma być.

Ben zjechał na pobocze obok szkoły. Skrzywił się, gdy do jego umęczonych uszu dotarł zgiełk czyniony przez setkę dzieciaków bawiących się na dworze. Auć. Ciekawe, gdzie jest wychowawca?

Spojrzał w stronę budynku. Serce mu zamarło, gdy ujrzał Rachel trzymającą Riley’a za rękę i rozmawiającą z nauczycielem. Dzieciak się



denerwuje, to widać. Pierwszy dzień w szkole to nie przelewki.

Ben cicho zamknął drzwi. Powinien być teraz w drodze do pracy. Nie powinien tu stać i wpatrywać się w dzieciaka. Ani w jego matkę. Ale kiedy mijał szkołę, zdjął machinalnie nogę z gazu i jakoś tak wyszło.

Szczerze mówiąc, nie chciał przegapić widoku chłopca, który po raz pierwszy idzie do szkoły. Nic nie poradzi, że teraz jego wzrok spoczywa nie na Rileyu, lecz na Rachel. Widzi jej wyprostowane plecy. Jest spięta, ściska rękę syna, jakby była do niego przyklejona.

To dla niej też wielki dzień. Ben podszedł bliżej. Poczł zapach lawendy. Patrzył na wspaniałe loki, które tak lubił okręcać wokół palca. Teraz były związane w rodzaj koka, przekłutego ozdobną szpilą. Jakże chętnie by ją wyciągnął i rozpuścił włosy. Wstrzymał oddech i zacisnął dłonie, by tego przypadkiem nie zrobić.

Krew zaczęła szybciej krążyć mu w żyłach. Czuł, jak słabnie jego postanowienie, by trzymać się od niej z daleka. Słabnie? Ono już odeszło, za góry, za lasy i zostawiło go sam na sam z rozpaczliwym dręczącym pragnieniem.

Pragnie Rachel. Pragnie Rachel. Każda sekunda była wypełniona tęsknotą za nią. Czy znajdzie w sobie siłę, by znów się oddalić? Jest skończony. Nie radzi sobie z pożądaniem, a co dopiero mówić o miłości?

Miłość.

Jego mózg krzyczy to słowo, wyje. Ben zaczął się cofać. Do diabła z pierwszym dniem w szkole. Do diabła ze wspieraniem Rachel w trudnych chwilach. Może ona tego potrzebuje, ale on nie może sobie na to pozwolić. Wszystko wskazuje, że zakochał się w kobiecie swoich marzeń. Jednak nie wolno mu, nie teraz, nigdy. Nie zniesie więcej ciosów.

– Ben? – Rachel odwróciła się i patrzyła na niego jak na kosmitę. –

Przyszedłeś zobaczyć Riley'a?

A nie mnie? – pytały jej oczy. Było to pytanie podszyte głębokim smutkiem. Jego żołądek ścisnął się tak, jakby *już* nic nigdy nie miał w życiu przełknąć.

Uciekaj, wołała bardziej strachliwa połowa duszy. Zostań, przejmij kontrolę, mruzczała ta druga.

– Taaa... – Tylko tyle potrafił z siebie wydusić.

– To miłe.

Miłe? Co jest miłe? Strugi potu ściekające mu po plecach?

– Jest lekko przestraszony – szepnęła Rachel. Potrząsnęła ręką syna, chcąc mu dodać otuchy.

Zupełnie jakby stali nad przepaścią.

– Ben! Jesteś! Wiedziałem, że przyjdiesz! – Riley uwolnił dłoń z uścisku mamy, skoczył w kierunku Bena i z całych sił objął go w pasie.

– Cześć, dzieciaku, nie mogłbym przecież opuścić twojego pierwszego szkolnego dnia. – Choć tak bardzo się starałem.

Ben podniósł malca do góry, potrząsnął nim lekko i postawił z powrotem na chodniku.

– Będziesz miał dziś mnóstwo zabawy, wierz mi – powiedział, przybijając z Rileyem piątkę.

– Też tak myślę. – Dłoń chłopca pacnęła go dość mocno, ale drżący głosik zdradzał zdenerwowanie.

– Zobacz, koledzy na ciebie czekają. W takiej bandzie łobuzów każdy facet czuje się jak ryba w wodzie. – Ben dał Rileyowi prztyczka w podbródek. – Szykuje się niezła jazda.

Rachel podeszła do syna. Z pewnością małemu udzielała się część jej strachu przed wypuszczeniem go spod opiekuńczych skrzydeł. Ben mocno

objął ją ramieniem. Dygotała.

– Jakie to głupie – odezwała się drżącym głosem. – Mój syn ma swój wielki dzień, a ja nie potrafię się cieszyć.

Zobaczył, że przygryza wargi, a oczy ma pełne łez.

– Pociesz się, że twoja matka przeżywała to samo, jak ty szłaś do szkoły.

– Tak, napisała mi to niedawno w mejlu. Myślałam, że przesadza, jak to ma w zwyczaju. Dzięki, że się zjawileś, bardzo mi pomogłeś. – Jej głos był już pewniejszy.

Oczywiście to mąż powinien stać tu teraz przy niej, wspierać ją, a chłopcu dodawać odwagi i wiary w siebie.

Ciekawe, czy wciąż za nim tęskni tak mocno jak po jego tragicznej śmierci? Czy może już odłożyła go do przegródki ze wspomnieniami? Pomarzyć można.

Nagle zrobił coś bardzo głupiego.

– Poszłabyś na kawę, jak odprowadzisz Rileya? – W brzuchu skakały mu wielkie żaby, ale przynajmniej zrobił coś, by rozładować jej stres.

– Mamo, ja już chcę wejść do środka – wtrącił Riley.

– Oczywiście, skoro ty jesteś gotów, to ja też. – Rachel uśmiechnęła się niepewnie.

– A ty? Idziesz? – Riley ufnie spojrzał na Bena.

– Jasne, że tak. – Ben popatrzył na Rachel z nadzieją, że przyjmie to bez irytacji. Istotnie, jej oczy promieniały wdzięcznością.

Gdy tak w trójkę maszerowali do klasy, Ben miał przedziwne poczucie przynależności do tej rodziny. Mama, tata i dziecko. Dyszał z przejęcia, potykał się o własne sznurowadła. Rodzina. Nigdy nie myślał, że wystąpi w takiej roli.

Rachel patrzyła na niego zdziwiona.

– Wszystko w porządku?

Przytaknął. Oto kroczył dostojnie, uczestnicząc z nią w ważnym wydarzeniu. Chciał pocieszać Rileyę, na wypadek, gdyby ten się rozplakał. Chciał też pocieszać Rachel, na wypadek, gdyby to ona się rozplakała. Sądząc po emocjach malujących się na twarzy, była tego bliska.

– Podejdz, Riley. Dziś usiądziesz w pierwszym rzędzie, razem z Harrym. Chyba będzie ci różniej z kimś, kogo znasz?

Nauczyciel zbliżył się do trójki stojącej z mocno nietęgimi minami na progu klasy pełnej rozszalałego żywiołu, czyli hałasu i gorączkowej paplaniny ponad dwudziestki dzieciaków.

Chłopiec spuścił głowę i przytaknął. Ben poczuł skurcz piąstki, która tkwiła w jego dłoni. Nachylił się i zapytał:

– Wszystko okej, koleś?

Riley wciąż wpatrywał się w podłogę, więc Ben odszukał wzrokiem Harry'ego i pomachał.

– Zobacz, usiądź koło niego, a my z mamą zostaniemy tu tak długo, aż poczujesz się na luzie.

Położył rękę na ramieniu chłopca i skierował go we właściwą stronę. Harry pociągnął kolegę za rękę.

– Chodź, Riley, pan Tualava coś nam poczyta.

Ben usadził Rachel na krześle, sam zajął miejsce obok. Dotykał jej ramienia, a dłonią nakrył drżącą dłoń.

– Za chwilę będzie zachwycony, zobaczysz.

– Dziękuję. – Rachel spojrzała na niego. – Nie wiem, co mi się stało. Przeżywam to niczym ŻChZZ u ciężarnej pacjentki.

– Żylną chorobę zatorowo – zakrzepową porównujesz do pierwszego

dnia w szkole? No, kobieto...

– Skąd znasz ten skrót? – zapytała.

Przy tej pani trzeba mieć się na baczności. Nic nie ujdzie jej uwagi. Starał się obrócić wszystko w żart.

– Wszyscy go znają.

– Nie sędzę, żeby policjant stykał się z nim w codziennej pracy.

Ben wyciągnął nogi przed siebie. Przez głowę przebiegały mu tysiące odpowiedzi, ale żadnej z nich nie chciałby wypowiedzieć na głos. W końcu stanęło na:

– Moja żona była pielęgniarką.

– Rozumiem. I po każdym pracowitym dniu prowadziliście fachowe rozmowy przy lampce wina. O policji i o pielęgniarstwie. – Mówiąc to, Rachel wykrzywiła usta w grymasie, który mógł irytować, ale oznaczał, że nie jest na niego wściekła.

– Coś w tym stylu.

Przeniósł wzrok na Rileyę. Może uda się nawiązać z chłopcem kontakt, rozśmieszyć go głupią miną czy coś takiego. Wówczas i jego matka przestanie się pasjonować niewygodnymi tematami. Riley jednak siedział nieporuszony, wsłuchany w głos nauczyciela. Cholera.

– Znałeś kogoś, kto na to chorował? Kto na to zmarł?

– pytała Rachel. Pewnie szukała potwierdzenia jakichś swoich domysłów.

– Nie, Rachel, nie chodzi o Catrinę.

Przypatrywała mu się długo i uważnie, aż odpuściła.

Zaczęła się bawić rąbkiem krótkiej spódniczki, fałdując i rozprostowując go na przemian.

– Jeszcze pięć minut i możemy spokojnie wyjść – wyszeptała. – Co z tą

kawą? Jeśli o mnie chodzi, z przyjemnością pójde.

Cholera i jeszcze raz cholera. Już czuje, jak będzie go wypytywać. Ben spojrział na zegarek. Był już spóźniony do pracy, ale szef znał przyczynę. W razie potrzeby na pewno by zaesemesował.

– Nie wywiniesz się, nawet nie próbuj. – Tym słowom towarzyszył stalowy błysk oczu.

Spróbował więc uśmiechu, tego szerokiego i ciepłego, po którym zazwyczaj miękła jak wosk.

– A może odłożymy to na kiedy indziej?

Tak, najlepiej na przyszły rok. Bo jej tu na pewno już nie będzie.

– Nie radzę. – Rachel pochyliła głowę i spoglądała na niego spod rzęs, kpiąco i groźnie zarazem. – Rozpaczliwie potrzebuję przyzwoitej kawy. Dziś rano za sprawą pewnego młodego człowieka zapanował taki obłęd, że musiałam się zadowolić rozpuszczalną. – Wzdrygnęła się delikatnie. – Chyba nie pozwolisz, żebym zaczęła dzień bez solidnej dawki kofeiny?

Wiedział, że został pokonany. Pozostało mu tylko zrobić dobrą minę do złej gry.

– Wygrałaś. – Uśmiechnął się.

– Wymkniemy się?

Riley nie zorientował się, kiedy wyszli, przez co Rachel znów miała w oczach łzy.

– Nawet nie zauważył, że nas nie ma...

– Czy nie tego właśnie chciałaś? – Ben był najwyraźniej zdezorientowany.

– Ja chciałam, ale moje ego cierpi, że tak szybko zostało zapomniane. Pewnie masz mnie za wariatkę?

– Kompletną – potwierdził, zatrzymując się przy jej, to znaczy swoim,

samochodzie. – Kawa w Swampies. Jedź za mną, jeśli nie wiesz, gdzie to jest.

Musiał nastawić się psychicznie na czekające go maglowanie.

Ben nonszalancko wyprostował nogi i wyglądał na całkowicie zrelaksowanego. Ale to tylko pozory. Ścisnął filiżankę pobielającymi palcami i od dobrych paru minut mieszał w niej łyżeczką.

Rachel dotknęła palcem wierzchu jego dłoni.

– Już dobrze. Nie urządzę ci teleturnieju z wiedzy medycznej.

Łyżeczka zatrzymała się w połowie obrotu. Rachel oparła się wygodnie i przyglądała mężczyźnie, na którym zależało jej o wiele za bardzo. Przerazliwie tęskniła za nim przez tydzień, więc skoro już są przez chwilę razem, nie będzie tego psuła pytaniami, które go wyraźnie drażnią. Jeżeli zechce mówić, sam powie. A jeśli nie, ona poczeka. Teraz odczuwała wdzięczność, że pokazał się w szkole.

– Dziękuję za dzisiejszy ranek. To był dla mnie trudny scenariusz, dzięki tobie wszystko poszło jak trzeba.

– Studiowałem medycynę. Chciałem być internistą.

Przez chwilę sądziła, że się przesłyszała. Nie oczekiwała, że Ben zechce teraz powiedzieć coś o sobie. A tu nagle takie wyznanie. Nie była nawet specjalnie zaskoczona.

– Domyślałam się, masz sporą wiedzę medyczną.

– Czasem trudno ją chować dla siebie – zauważył, patrząc na nią niepewnie.

– Też tak sędzę.

Co poszło nie tak? Dlaczego nie został lekarzem?

– To nie jest zawód dla każdego, a już na pewno nie dla mnie – ciągnął Ben. Dokończył kawę, wstał od stołu.

– Idziemy?

Próbowała szybko przełknąć resztę kawy, ale ta była za gorąca. To widać nie jest jej kofeinowy poranek.

– Spóźnisz się do pracy?

– Wiedzą, gdzie mnie szukać. Przejdźmy się.

Wziął ją za rękę i poprowadził w stronę plaży. Rachel zdjęła buty i szli wzdłuż linii wody, pozwalając małym falom obmywać stopy.

Właśnie zaczęła mówić, że musi skrócić w stronę szpitala, gdy Ben jej przerwał.

– Postanowiłem zostać lekarzem po wypadku, jakiemu na naszej farmie uległ pasterz. Ojciec był rozczarowany, bo już wcześniej mój brat oświadczył, że nie chce prowadzić farmy. Obaj mieliśmy zdolności do nauk przyrodniczych. To po matce.

– Co się więc stało z farmą?

– Siostra jest naczelnym farmerem rodziny. Kocha pracę na świeżym powietrzu. Jej dzieciom też to odpowiada. Wyszła za mąż dopiero niedawno, już po ich urodzeniu, i do dziś nie miała hucznego wesela ani podróży poślubnej. Jej mąż bardzo by chciał, ale ona twierdzi, że nie ma na to czasu.

– Tak więc ojciec nie musiał sprzedawać ziemi? – pytała, szczęśliwa, że Ben chce mówić o sobie.

– Przynajmniej nie obcym. Mój szwagier jest maklerem giełdowym, ale kocha farmę. Pracuje w domu przy komputerze, jest więc szefem kuchni i zmywaka, zajmuje się dziećmi, a żonie zostawia pracę na roli.

– Brzmi to wspaniale – rzekła Rachel z nutką zazdrości. Niektórym ludziom naprawdę dobrze się układa. – A ty? Poszedłeś na medycynę...

– Taaa... – Westchnął tak głośno, że pewnie słyszano by go na przestrzeni kilometrów, gdyby akurat w pobliżu do lądowania nie podchodził samolot. – Początkowo szło jak z płatka, lubiłem studiować. Byłem



szczęśliwy, że mogę pomagać ludziom. – Spojrzał w dal. – Ale nie potrafiłem znieść, gdy kogoś nie udało się uratować.

– Chyba wszyscy czujemy podobnie. Musimy po prostu wierzyć, że każdemu da się pomóc.

Ben zwolnił kroku, a ona wlokła się za nim, czekając na dalsze wynurzenia.

– Ja chciałem traktować leczenie człowieka całościowo, od narodzin do późnej starości – podjął Ben po chwili, – Postanowiłem więc zostać lekarzem ogólnym.

Ściszył głos. Rachel zauważyła cień w jego oczach.

– Ale... – przerwał, zatrzymał się i patrzył na wodę. – To takie dziwne... Nigdy nie uodporniłem się na ból innych. Wtedy, gdy na farmie pasterz został przygnieciony przez quada, miałem sobie za złe, że nie potrafiłem go spod tej maszyny wydobyć, żeby mniej cierpiał. Wszystko, co dla niego zrobiłem, to był siedmiokilometrowy bieg, żeby jak najszybciej sprowadzić pomoc. Wszyscy mi mówili, że zrobiłem dobrze, bo inaczej facet by umarł. A ja nie mogłem się pogodzić, że nie byłem w stanie stawić czoła temu, co zobaczyłem w jego oczach.

Chciała mu przerwać, ale znając Bena, wiedziała, że doprowadzi swą opowieść do gorzkiego finału.

– Myślałem, że jak zostanę doktorem, nauczę się lepiej sobie radzić z takimi sytuacjami. Ale się nie nauczyłem.

A więc dlatego wciąż chce być bohaterem. Takie wyjaśnienie samo się nasuwa.

– Kiedy zrezygnowałeś z medycyny i przeszedłeś do policji?

– Po śmierci Catriny, Skoro już wcześniej tak źle znosiłem widok bólu, to po czymś takim nie zniósłbym go w ogóle. Na miejscu wypadku musiałem

patrzeć, jak cierpi, jak połamane żebra wbijają się przy każdym oddechu w płuca. To było nie do zniesienia. Błagała mnie o pomoc, o uśmierzenie bólu, a ja mogłem najwyżej potrzymać ją za rękę. Byłem zakleszczony między siedzeniem a silnikiem.

Rachel, chcąc go pocieszyć, ścisnęła jego dłoń. To za mało, za późno, ale cóż więcej można zrobić?

Ben dygotał.

– To pamiętam najlepiej. I jeszcze to, że najchętniej odwróciłbym wzrok. Zmuszałem się do utrzymywania kontaktu wzrokowego, aż w końcu, dzięki Bogu, jej powieki opadły. To, co musiała przejść, co razem przeszliśmy, jest nie do wyobrażenia. Dla nikogo.

Rachel objęła go i przyciągnęła do siebie. Czuła potworne napięcie przenikające jego ciało. Mogła mu oferować jedynie ciepło. A to o wiele za mało.

Nie wiedziała, jak długo tak stali. W końcu Ben zrobił krok w tył i pociągnął nosem.

– Popatrz na mnie. Chłop jak dąb, a nie potrafi patrzeć, jak inni cierpią.

– Nie masz się czego wstydzić. – Znów się do niego przytuliła i spojrzała w oczy.

Odezwał się przyczepiony do jego paska telefon. Wyjął go i odczytał wiadomość.

– Potrzebują mnie w komisariacie.

Zawrócili. Rachel rozmyślała nad tym, co właśnie usłyszała. Jaki czuły i opiekuńczy z niego facet. Nie miała wątpliwości, że byłby fantastycznym lekarzem. Jest inteligentny, dociekliwy, ma podejście do pacjentów. Na pewno nie poprzestałby na powierzchownej diagnozie, drążyłby głębiej. No i słuchałby kolegów. Te cechy wniósł do swego nowego zawodu, gdzie też są

bardzo przydatne.

Teraz, znając jego historię, Rachel zrozumiała, dlaczego wybrał służbę w małej społeczności, gdzie nie dzieje się tak wiele złego, gdzie nie musi zbyt często podejmować decyzji w sprawach życia i śmierci. A nadal może nieść ratunek ludziom, którzy znaleźli się w niebezpieczeństwie.

– O której zaczynasz dyżur? – zapytał cicho.

Stali już przy parkingu.

– Za dziesięć minut.

– Jak się czuje Liu? Masz jakieś wieści?

– Rozmawiałam wczoraj z onkologiem, który ją prowadzi w Auckland. Jest w połowie chemioterapii i zamęcza wszystkich pytaniami, kiedy będzie mogła wrócić do domu.

– Pewnie tęskni za dziewczynkami. Dziwię się, że nie pojechali wszyscy do Auckland na czas terapii.

– Domyślam się, że to jedna z wielu niedogodności życia tutaj – odparła Rachel, wzdychając.

– Ale dzięki tobie jest coraz lepiej. Gdybyś nie otworzyła tej przychodni, los Liu byłby o wiele smutniejszy. Muszę już iść – rzekł, dotykając jej ramienia.

– Dzięki, że mi o sobie opowiedziałeś – zawołała, patrząc, jak wsiada do furgonetki, zapina pas, włącza silnik. Na pożegnanie pomachał jej krótko i jakby mimochodem.

Teraz lepiej rozumiała Bena. Ale czy coś z tego wynika? Nadal musi mieć na uwadze, że jemu zdarzają się niebezpieczne sytuacje, że może postąpić nierozważnie i wieczorem nie pojawić się w domu. Tak jak wtedy, z tymi chłopakami na rafie. Skoczył ich ratować, nie zdjęwszy nawet butów. Bohater. Jeszcze jeden cholerny bohater.

Serce ją rozboleło. Z miłości? Z rozpacz? Musi podjąć decyzję – i to teraz, dopóki nie jest za późno – że nie będzie się z Benem wiązać. To konieczne, bo on przecież się nie zmieni. Trzeba raz na zawsze skończyć z tym, co jest między nimi. To bolesne, nawet bardzo. Ale przynajmniej pozwoli uniknąć udziału w pogrzebie, który nieuchronnie nastąpi po którymś z jego heroiczych manewrów.

TTLR

## ROZDZIAŁ JEDENASTY

No i proszę, misja zakończona, nawet bez specjalnych starań. Sam dostarczył Rachel argumentu, że powinna się trzymać z dala od niego.

Powinien być zadowolony. Uświadomił jej swoje słabe strony, dzięki czemu ona weźmie sprawę we własne ręce. Teraz już nie będzie musiał co wieczór przemykać się do domu po ciemku, nie będzie musiał jej unikać. Przez ostatnie kilka dni umyślnie marudził dłużej w komisariacie albo szedł gdzieś z kumplami. Wracał jak najpóźniej, by nie narażać się na kontakt z sąsiadką.

Nie umniejszało to jego bólu. Nadal pragnął być przy niej, wodzić palcem po jej ustach tuż przed pocałunkiem. Dziś więc zrobił coś naprawdę bardzo głupiego. Towarzyszył Rachel w szkole, w której zaczął się uczyć jej syn. Do diabła, stał tam, trzymał Rileya za rękę, patrzył na łzy i zakłopotanie Rachel. Chciał ich tulić, odegnać wszystkie smutki. Byli we troje. Byli razem.

Jak rodzina. Coś, czego przez lata starał się za wszelką cenę unikać. A dziś zrobił śmiały krok, nie myśląc o konsekwencjach, nawet nie usiłując sobie wyobrazić, jak będzie się potem czuł. Tęsknił za obojgiem przez kilka dni poprzedzających dzisiejszy, jakże poważny błąd. Bo potem przesłonił wszystko obszernym wyznaniem, z którego można było dowiedzieć się, że stanowi żalostną i bezużyteczną imitację mężczyzny.

– Hej, Ben, jesteś tu?

– A co, wyglądam jak zjawa? – odpowiedział na zaczepkę Harleya, swego asystenta.

– To co, idziemy?

– Dokąd? – Ben odegnał obraz Rachel, który miał przed oczami, i

postarał się skupić na słowach sierżanta.

– Aresztować Hawthorne'a.

– Teraz? Czy coś przegapiłem?

– I ty pytasz, czy jesteś zjawą. – Harley pokiwał głową.

– Przed chwilą przez dziesięć minut mówiliśmy, a raczej ja mówiłem, o Operacji Gronostaj. – Harley położył ciężką łapę na stosie dokumentów piętrzących się na biurku Bena.

– Tu jest komplet informacji. Od pół godziny dysponujemy nakazami przeszukania jego domu i firmy. Chłopcy w pełnym rynsztunku, aż przebierają nogami. To co, jedziemy?

Ben wstał, wziął kluczyki.

– Oczywiście. Czy mógłbyś powtórzyć ważne rzeczy, które powiedziałeś przed chwilą, a o których mógłbym nie wiedzieć?

Nie powinno być takich rzeczy. Nad tym trudnym przypadkiem spędził mnóstwo godzin.

– Chłopie, już ty wiesz, co zrobić, żeby człowiek poczuł się lepiej – parsknął Harley.

Cóż, trzeba będzie pociągnąć delikwenta za język, a potem go przechytrzyć.

– Widziałem cię w szkole z Rachel i z chłopakiem. – Harley skierował się ku wyjściu, nie czekając na prawdopodobnie zgryźliwą odpowiedź Bena.

Jadąc przez miasto, Ben usiłował skupić się na sprawach zawodowych. Jeśli tego nie zrobi, może popełnić błędy, a ma na dziś dość błędów. O przyszłości pomyśli później. Teraz ma wspierać kolegów, dbać o ich bezpieczeństwo. Bo Hawthorne – o czym wiadomo od początku śledztwa – trzyma w domu broń.

Po tygodniach obserwacji we współpracy z wydziałem przestępstw

gospodarczych z Auckland nareszcie udało się przyłapać Hawthorne'a na wyłudzeniu pieniędzy.

Harley pomachał właśnie powłóczącemu nogami staruszkowi.

– Musimy aresztować Hawthorne'a choćby po to – wyjaśnił – żeby ten biedak odzyskał swoje oszczędności i nadal mógł płacić za kształcenie wnuków.

Ben też był wściekły. Ten typ to łajdak. Umiał czarować, kusił naiwnych wysokim oprocentowaniem, a oni lokowali ciężko zarobione pieniądze w jego fikcyjne przedsięwzięcia. W dodatku facet pochodzi stąd. Jego matka żyje w nędzy w Muri, bo i ją pozbawił ostatniego grosza.

– Teraz my ciebie pozbawimy tego i owego, koleś – mówił Ben, zbliżając się do jednej z bardziej okazałych rezydencji na wyspie. Nadszedł czas. Trzeba uwolnić mieszkańców wyspy od Gronostaja. Pora zrobić coś, z czego będzie można być dumnym.

Riley zasnął nad kolacją. Rachel pochyliła się, dumna ze swego małego dzielnego wojownika. Łzy napłynęły jej do oczu.

Puk, puk. W drzwiach stał Ben.

– Cześć – wyszeptał. – Obiecałem małemu, że wpadnę wieczorem.

– Padł. Ale szkoła mu się spodobała, opowiadał o niej cały czas. Okazało się, że ja przy panu Tualavie jestem zwykłą ignorantką. – Uśmiechnęła się.

– Mądrość to przywilej nauczyciela. Chcesz, żebym go zaniósł do sypialni?

– Możesz? Dla mnie zrobił się za ciężki.

Ben ostrożnie posadził chłopca na łóżku i przytrzymał go, podczas gdy Rachel ściągała mu przez głowę koszulkę. Niechcący dotknęli się. Rachel poczuła przeskakujące między nimi iskry. Była spragniona dotyku Bena,

tęskniła za pocałunkami, seksem. Najchętniej od razu rzuciłaby mu się w ramiona. Ale to byłaby najgłupsza rzecz, jaką można zrobić. Ben jakby się przyczaił, chyba nawet wstrzymał oddech. Czy domyśla się, co się z nią dzieje?

Rachel zdjęła Rileyowi koszulkę i pocałowała synka w miękki policzek.

– Dobranoc, kochanie.

Wstała i podeszła do drzwi. Ben nadal siedział przy łóżku i przemawiał do śpiącego:

– Dobrej nocy, dzieciaku. Fajnie, że wszystko dobrze dziś poszło.

Szybko rośniesz.

– Za szybko.

– A co, chciałabyś to cofnąć?

– Nie bądź głupi.

Skierowała się do kuchni, by dokończyć przygotowywanie sałatki.

– Głupi, mówisz? – Ben stał za nią. Bardzo blisko.

Na szyi czuła jego oddech. Życie bez niego to życie na jałowym biegu. Pora chyba skończyć z wszelkimi postanowieniami. Ben to mężczyzna marzeń – namiętny, seksowny, czuły, powszechnie szanowany. Ale też mężczyzna jej koszmarów – cholerny bohater.

Odwróciła się. Logika nakazywała dystans, ale ciało nie uznaje logiki. Pragnęła go. Całego. Teraz. W łóżku.

– Dziękuję, że odwiedziłeś Riley'a. Będzie mu żal, że to przespał. Był u ciebie wcześniej, ale cię nie zastał. Więc musiałam wysłuchać, że Ben to, Ben tamto. I że pan Tualava to, pan Tualava tamto.

– Miałem ciężki dzień w pracy.

– Słyszałam coś.

Prawdę mówiąc, bała się o niego cały dzień. Dopiero teraz poczuła ulgę.



W domu jakiegoś biznesmena miała miejsce strzelanina z udziałem policji. Gdy do szpitala dotarła karetka z jednym lekko rannym policjantem, Rachel natychmiast wybiegła zobaczyć, czy to przypadkiem nie Ben. Najpierw poczuła ulgę, ale potem złość.

– Tak myślałem. Powinienem być zadzwonić, przepraszam – powiedział, wpatrując się w nią.

– Tak, do jasnej cholery, powinieneś. – Jej złość powróciła nagle ze zdwojoną siłą. – Naprawdę myślałeś, że się nie martwię?

– Aresztowaliśmy oszusta, który wyciągnął masę forsy od rodziny i znajomych. Pracowaliśmy nad tym od dłuższego czasu.

– Ach, tak, oczywiście. Ben Zbawiciel.

Gdzie się podziały jej maniery? Przecież po wydarzeniach poranka chciała, by zostali przyjaciółmi.

Ben podszedł do lodówki.

– Masz jakieś piwo?

Co on tu jeszcze robi? Niech ją zostawi w spokoju!

– Dla mnie też.

Wzięła od niego butelkę. Jej zawartość koła spieczone usta i gardło. Niestety dla podrażnionego żołądka nie była już takim nektarem.

– Rachel, cały czas panowaliśmy nad sytuacją.

– Ten człowiek postrzelił jednego z twoich kolegów!

– Mylisz się. On nie miał szansy sięgnąć po broń. Wiedzieliśmy, gdzie ją trzyma i nie dopuściliśmy do tego. Naszym celem było bezpieczne odstawienie go do aresztu.

– To jak został zraniony policjant?

– W zamieszaniu potknął się i rozbił głowę o balustradę. – Ben się skrzywił. – Jak rozumiem, w maglu aż wrzało.

– I właśnie dlatego telefon byłby miłym gestem z twojej strony.

– Nie mogłem. – Stał i patrzył na jej twarz, jakby czegoś w niej szukał. Zrozumienia? – Lepiej już sobie pójdę.

– Przepraszam cię, Ben, ale ja nie jestem w stanie żyć w poczuciu, że ty w każdej chwili gotów jesteś rzucić się w wir podobnych wydarzeń.

Pokonał dzielącą ich otchłań i pogładził ją po podbródku.

– Wiem, Rachel, wiem.

I poszedł sobie, zostawiając ją oniemiałą na środku kuchni.

– Mamo, popatrz na mnie! – Ociekający wodą Riley skoczył na główkę z platformy dla nurków.

– Boże, on jest nieustraszony. Można by pomyśleć, że pływa od urodzenia, a nie od trzech miesięcy – zauważyła Rachel siedząca obok Lissie na burcie łodzi.

– Wolałabyś, żeby był zalękniony i ciągle się wahał? – odpowiedziała pytaniem przyjaciółka.

Łódź należała do jednej z firm czarterowych Pity i jego rodziny. Ponieważ ocean był wyjątkowo spokojny, Pita zaoferował się, że po szkole zawiezie wszystkich na odległy koniec laguny, gdzie woda jest głębsza. Pływanie tu było rzeczywiście bardziej ekscytujące niż przy plaży. Dzieciaki wprost szalały.

– Tak wrzeszczą, że wkrótce stracą głos – zauważył mąż Lissie.

– Oby. – Rachel się uśmiechnęła. – Rileyowi buzia nie zamyka się przez cały dzień. Nie mogę w nim rozpoznać tego cichego chłopca, którego przywiozłam tu z Londynu.

– Słyszałem, jak rozmawiali z Benem o wyprawie na ryby.

– Kiedy to było?

Riley nic jej o tym nie mówił, a Bena od trzech tygodni prawie nie

widowała. Trzy ciężkie tygodnie, gdy nieustannie musiała walczyć z chęcią błagania go, by do niej wrócił.

– Kilka dni temu. Usłyszałem, bo rozmawiali obok mojego hangaru ze sprzętem na plaży. Było tam jeszcze kilku chłopców. Riley jest wpatrzony w niego jak w obraz. – Pita czyścił butlę tlenową. – Ben ma dobry wpływ na dzieciaka, możesz być spokojna.

– Zgoda, pod warunkiem, że Riley nie przywiąże się do niego zbyt mocno. – Rachel poczuła ucisk w żołądku.

– Zamierzasz wkrótce wyjechać? – zapytała Lissie. – Myślałam, że jakoś się tu zakorzeniłaś.

– Tak, kocham to miejsce. Ale kto wie, co nas czeka? Nie planowałam osiąść tu na stałe. Nie zrozum mnie źle, ale pewnego dnia mogę zatęsknić za pracą w dużym szpitalu.

Wzrokiem szukała syna. Twarz zanurzona w wodzie, ręce i nogi szeroko rozpostarte na powierzchni. Przeraziła się.

– Riley! – zawołała, choć powinna wiedzieć, że jej nie słyszy. – Idę do ciebie!

Zeskoczyła z burty do głębokiej wody i natychmiast poszła na dno. Ogarnęła ją panika, kopała na oślep, rękami młóciła wodę wokół siebie. Nie oddychaj, tylko na litość boską nie oddychaj, bo utoniesz...

Usiłowała wydostać się na powierzchnię. Tylko gdzie jest ta powierzchnia? Tu, na dole, nie było tego widać. Coś otarło się o jej łydkę i odruchowo otworzyła usta, by krzyknąć. Poczowała smak soli, miała ochotę ją wypluć, odetchnąć. Na szczęście była na tyle przytomna, by się powstrzymać.

Wtedy nagle ujrzała światło. Mrugała, dyszała, rozpaczliwie wymachiwała kończynami, szukając łodzi czy innego oparcia.

– Ratunku! – krzyknęła w końcu.

Czyjeś silne ręce objęły ją w talii. Usłyszała najdroższy na świecie głos:

– No, mam cię!

– Ben? Gdzie jest Riley?

– Cały, zdrowy i bezpieczny.

– Widziałam, jak unosił się na powierzchni z twarzą zanurzoną w wodzie – mówiła przerażona, plując słoną wodą. – Gdzie on jest?

– Bawi się z dziećmi. Nawet nie zauważył twojego skoku. – Ben doholował ją do łodzi. – Podaj rękę Picie, on cię wciągnie na pokład.

Pita ciągnął ją za rękę, a Ben popychał od dołu. Po chwili, bezceremonialnie rozwalona, leżała na pokładzie, kaszląc i dygocząc. Natychmiast jednak uniosła się na łokciach, szukając wzrokiem Riley'a. Usłyszała go, zanim dostrzegła. Śmiał się, prychnął, nurkował.

– Riley, do mnie! I to już! – wrzasnęła.

– Boże, Rachel, przestraszyłaś mnie. Wpadłaś do tej wody jak kamień.

– Lissie przycupnęła obok.

– Muszę pogadać z Riley'em.

Ben podpłynął do grupki dzieci i wyłuskał z niej Riley'a. Doholował go do łodzi, patrząc na nią ze zrozumieniem i troską. Było w tym spojrzeniu coś więcej, ale tego już nie chciała przyjąć do wiadomości.

– Dzięki – wyszeptała, obejmując chłopca drżącymi ramionami. – Riley, kochanie.

Nie chciała teraz zgadywać, co kryje się w oczach Bena. Chciała przytulić się do syna, upewnić, że jest cały i zdrowy. Było jej głupio. Dziesięć minut temu panikowała, że się utopił, a teraz on wije się jak piskorz w jej objęciach, chcąc się z nich wyswobodzić i wrócić do kolegów.

Zachowała się nieodpowiedzialnie. Mogła utonąć. Kim byłby wówczas Riley? Sierotą. Nie jest ani trochę lepsza niż Jamie. I Ben. Nie, jest

niesprawiedliwa. Ben, skacząc do wody, przynajmniej zna głębokość miejsca. Upewnia się też, że pod powierzchnią nie czyhają skały czy inne pułapki. Jest od niej o niebo ostrożniejszy.

– Mamo, mogę już iść?

Chciała zakazać, ale słowa utknęły jej w gardle. Zdała sobie sprawę, że Riley jest bezpieczny. I że to nie jest jej zasługa.

– Widziałaś, jak robię rozgwiadę? O, tak. – Chłopiec rozpostarł ręce i nogi.

– Tak, kochanie, widziałam.

Lissie dotknęła jej ramienia.

– Czy tobie też się zdarza bać, że twoim stanie się coś złego? – zapytała Rachel.

– Tak, bez ustanku. – Lissie okryła przyjaciółkę ręcznikiem. – Trzęsiesz się, zaraz rozhuścisz łódź.

– Skąd się tu wziął Ben?

– Właśnie płynął motorówką i zobaczył ten twój słoniowaty skok.

– Dokładnie tak się czułam, gdy szłam na dno.

– Wiozłem olej silnikowy dla Pity. – Ben siadł na pokładzie obok. – Dobrze się czujesz?

– Wiesz, przeraziłam się. Riley leżał na wodzie twarzą w dół. Podobno udawał rozgwiadę.

– Zareagowałaś jak każdy rodzic na twoim miejscu.

Zgadza się. Jak cholerny bohater. Raczej bohaterka.

– Tak, nie myślałam o niczym, tylko o ratowaniu Riley'a. Jestem taka głupia...

– Nie, jesteś po prostu matką – stwierdził, po czym objął ją i przytulił. Jej chęć oporu wyparowała błyskawicznie. Przyłgnęła do muskularnego

torsu.

– Przepraszam. Za wszystko.

– Nic się nie stało.

Siedzieli i w milczeniu obserwowali baraszkujące w wodzie dzieci. Po chwili Lissie zawołała wszystkich na łódź. Pora wracać.

– A może ty i Riley zabierzecie się ze mną? – zaproponował Ben. – Mam parę kotletów, możemy je w domu wrzucić na grill.

Czy to będzie nowy początek?

Nie, to tylko kontynuacja czegoś, co się zaczęło, gdy pewnego wieczoru Ben przyniósł do niej ranną Effie.

Przez całą drogę do domu Rachel milczała. Nie mówiła też nic, biorąc prysznic i przebierając się w granatowe szorty i białą bluzkę bez rękawów. Riley był tak wyczerpany, że z trudem włożył na siebie piżamkę. Rachel nie upierała się, by zjadł kolację. Odrobi to jutro przy śniadaniu. Chłopiec usnął na swym łóżku, przybierając ulubioną pozycję rozgwiadzy.

Ben przyniósł mięso i piwo. Rozpalał grilla, a ona w tym czasie robiła coś w rodzaju sałatki.

Wciąż rozpamiętywała obraz „utopionego” Riley’a. Dlaczego nie zauważyła, że obok w identycznej pozycji leży na wodzie Jason? Dlaczego przed skokiem nie spojrzała uważniej, nie sprawdziła, co robią inne dzieci? Mogła przecież zapytać Lissie albo Pitę, czy zabawa w rozgwiadzę jest bezpieczna.

Postąpiła tak samo, jak Jamie tamtego feralnego dnia. On też zadziałał impulsywnie. I teraz nie żyje. Podobnie Ben – nie namyślając się, ruszył na ratunek tonącym gówniarzom. Ona też. Gdy skakała, liczyło się dla niej tylko to, że Riley jest w niebezpieczeństwie. Usiadła na najwyższym schodku, wzięła głęboki oddech.

– Ben, dziś popełniłam straszny błąd.

Usiadł blisko niej, wyciągając nogi przed siebie.

– Nic się nie stało. Jesteś bezpieczna, Riley jest bezpieczny. Nie martw się.

– Ale nie powinnam ci mówić... no wiesz, tego o tobie.

– Rozumiem.

A więc rozumie. Nie ma jej za złe niekonsekwencji i zakłamania. Bogu dzięki.

Siedzieli w milczeniu. Patrzyli na czerwieniejące, a potem ciemniejące niebo, sączyli piwo.

– Wyciągnęłaś mnie – odezwała się w końcu Rachel. – Zjawiłeś się nie wiadomo skąd, jakby specjalnie dla mnie. Nigdy nie czułam się tak odprężona i bezpieczna jak przy tobie. Jesteś zawsze, kiedy cię potrzebuję. Tak jak w szkole Riley'a. Mam w tobie oparcie.

A więc ma w nim partnera, nie tylko kochanka. Kogoś, z kim można dzielić życie. Ben westchnął i jeszcze dalej wyciągnął długie nogi.

– Muszę cię o coś zapytać.

– Słucham?

– Zostaniesz tu po wygaśnięciu kontraktu?

– Tak. Riley jest tu tak szczęśliwy, nie mogę mu tego zepsuć. – Wciągnęła duży haust powietrza. – Nie zamierzam się stąd ruszać. Przynajmniej na razie. Może później pojedę na trochę do Anglii podszkolić się zawodowo, ale jeszcze nie wiem.

Na niebie pojawiły się gwiazdy. Rachel i Ben nadal siedzieli obok siebie, milcząc. Nagle ona poczuła, że serce podchodzi jej do gardła. Kocha tego człowieka. To takie proste i skomplikowane zarazem. Obróciła się do Bena, ujęła jego rękę.

– Dobrze nam razem, ale ja się jednak boję. O nas.

– Ja też. – Patrzył na nią. W jego oczach była odwaga i szczerść.

– Naprawdę? – spytała zdziwiona. – Ben, ja cię kocham – wyszeptala – ale nie przeżyłabym po raz drugi tego, co z Jamiem.

– Ja też nie przeżyłbym ponownie tego, co stało się z Catriną. – Wielką ręką przykrył drobną piąstkę Rachel. Zaczął wodzić palcem po powierzchni jej dłoni. – Ale ja cię też kocham. Nie mogę odejść od ciebie, to za bardzo boli. Chcę żyć przy tobie, mieć wspólną przyszłość. Jestem gotów dać szczęściu szansę. A ty? Zaczekam na ciebie tak długo, jak to będzie potrzebne – dokończył po chwili wahania.

Jej usta ułożyły się w serdeczny uśmiech. Opuścił ją ciężar, który odczuwała po tym nieszczęsnym skoku z łodzi. Wyprostowała się.

– Jestem przy tobie, zawsze będę. Już nie odejdę. Tamtego wieczoru, kiedy łomotałeś do moich drzwi i wniosłeś do domu Effie, stałeś się częścią mojego życia.

– Pukałem, nie łomotałem. – Uśmiechnął się niepewnie. – Czy dobrze usłyszałem? Jesteśmy parą?

– Odkąd jesteśmy razem, mój strach przed przyszłością zmałał o pięćdziesiąt procent. – Dając ujście narastającemu poczuciu, że jest szczęśliwa, wybuchnęła głośnym śmiechem.

Ben całował ją, jakby nigdy nie miał przestać. Pocałunkami zapewniał ją o swym uczuciu i żądał wzajemności, opowiadał o przeszłości, ale i o przyszłości. Burzył granice między dwoma ciałami, dwoma istotami.

– Kocham cię – szepnęła, całując mężczyznę, z którym gotowa była dać sobie szansę na nowe życie.



*Sześć miesięcy później*

– Może pan pocałować żonę – powiedział do Bena prowadzący ceremonię.

– Nareszcie. Czekałem na to cały dzień. – Ben uśmiechnął się do pani Armstrong.

– Prawie cały ten czas mnie całowałeś – wypomniała mu Rachel.

– Ale wtedy nie całowałem żony. – Pochylił się, pocałował ją, po czym wyprostował się ponownie.

– I to wszystko? Dla czegoś takiego wzięłam ślub? – Śmiała się bez przerwy, niczym klaun w cyrku.

– Tak ci się wydaje?

Pochylił się i pocałował ją jeszcze raz, tym razem goręcej. Rachel wstrzymała oddech, zapomniała, gdzie się znajduje. Poczuła, jak rodzi się namiętność

– Hej tam, wy dwoje! – wołał z tłumu Pita. – Możecie przestać, już porobiliśmy zdjęcia.

– Tak, mam, chyba przesadziliście.

Rachel spojrzała na syna.

– Poczekaj, i na ciebie przyjdzie czas, młody człowieku.

– Błeee, ja nigdy nie pocałuję dziewczyny.

Lissie miał łzy w kąciakach oczu.

– Piękna z was para. Jesteście stworzeni dla siebie.

– To dzięki tobie tu się znalazłam. Dziękuję, to było najmądrzejsze, co w życiu zrobiłam.

– Czas na zdjęcia! – Fotograf zaczął zapędzać całe stadko bliżej wody.

– Dlaczego nam, drużnom, kazaliście przyjść w eleganckich butach, a facetom wolno chodzić boso? – zapytała Lissie.

– Chciałam pójść na całość, pewnie nieprędko trafi mi się tak elegancka okazja – odparła Rachel, patrząc na swe buty idealnie dopasowane do pięknej niebieskiej sukni. – Fakt, piasek stanowi tu pewien problem.

– Ale tylko do chwili, gdy przeniesiemy się do restauracji.

Riley galopował po piachu w kierunku dziadków.

– Babciu, dziadku, musicie być na zdjęciu! – wołał.

Rachel wciąż nie mogła uwierzyć, że rodzice pofatygowali się taki kawał na jej ślub. Jak matce udało się przekonać tatę? Zza palmy kokosowej wyłonił się brat Bena pchający wózek z bratem Rachel. Jej szwagierka gawędziła w tym czasie z siostrą Bena.

Rachel nie przypuszczała, że kiedyś zazna takiego szczęścia i radości. W jedwabnej, białej, rozpiętej pod szyją koszuli wypuszczonej na beżowe płóciennie spodnie z podwiniętymi nogawkami, Ben wyglądał zjawiskowo. Bose stopy zupełnie przy tym nie raziły. Typowy ślub na wyspie. Widziała ich tu setki, ale żaden nie był tak wspaniały jak jej własny. I żadna panna młoda z kwiatem hibiskusa we włosach nie wyglądała tak pięknie.

– Rachel, jestem taka szczęśliwa. – Matka ucałowała ją. – Ben to cudowny mężczyzna.

– Dzięki, mamu. Jest nadzwyczajny, prawda? Cześć, tato, jak się miewasz?

– Dlaczego nie pobraliście się w kościele, jak ludzie? Mam pełno piachu w skarpetach.

– I tak cię kocham, stary zrędo. – Rachel się roześmiała. Nikt nie był w stanie popsuć jej dziś nastroju.

– Jesteś moją córką, prawda? – Ojciec ucałował jej policzki. Ostatni raz zrobił to wiele lat temu, przed wypadkiem brata. Rachel zamarła z wrażenia.

– Widziałem wszystko – powiedział Ben, podchodząc. – Jak się

czujesz?

– Nigdy nie czułam się lepiej.

– Mamo! – Riley biegł ku nim. – Musimy mieć wspólne zdjęcie, chodź.

Ty też, tato.

Ben potknął się i omal nie upadł. Rachel była w szoku. Gwar wokół nich nagle ucichł. Riley w jedną rękę chwycił dłoń Rachel, a w drugą Bena.

– Chodźcie – komenderował.

Ben przykucnął i objął chłopca.

– Jak powiedziałeś? Jestem twoim tatą?

– Jasne. Prawda, mamo? Mieszkasz z nami, to znaczy, że jesteś.

Ben wstał, tuląc syna. Obrócił się do Rachel.

– Piękna żona i wspaniały syn. Czego trzeba więcej? Nachyliła się ku niemu i wyszeptała:

– Drugiego dziecka. Za siedem miesięcy.

Riley zapiszczał, bo tych dwoje omal go nie Zgniotło. Po policzkach Bena płynęły łzy.

– Tak cię kocham – szeptał – a nie mogę zaofiarować ci nic poza sercem.

Uśmiechnęła się. Okej, niech będzie, wystarczy.